N. 45. WARSZAWA d. 30 Października (11 Listopada) 1871 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

Treść Numeru.

O KOBIETACH UBOGICH

PRZEZ

PANNĘ DAUBIÉ

(LA FEMME PAUVRE)

dzieło przejrzane

przez **Elizę Orzeszkową.**

(Dokończenie.)

Po uwagach o nauczycielstwie, p. Daubié zastanawia się nad urzędami publicznemi, albo już dostępnemi we Francji dla kobiet, albo takiemi do jakich one sposobne być mogą.

Niby główny motyw książki wraca znowu pytanie:

„Jakie środki utrzymania się posiadają kobiety?” i w odpowiedź na nie, wyliczenie różnych gałęzi administracji, w których kobiety otrzymują lub otrzymywać by mogły urzędowe posady. Z tych głównemi przedstawiają się: poczty, pobór podatków drukarnia cesarska, archiwa, telegrafy, koleje żelazne, biblioteki publiczne.

Tu dowiadujemy się o wielu ciekawych faktach.

Jednym z nich naprzykład jest: że kobiety we Francji od początku bieżącego stulecia, to jest: od czasów I-go cesarstwa, przyjmowane bywają w dość znacznéj nawet liczbie do urzędów pocztowych. W roku 1851, Francja posiadała w zarządzie poczt przeszło 2,000 kobiet urzędników, a opłata jaką wszystkie one pobierały, wynosiła sumę roczną 1,700,000 franków, to jest 850 franków przecięciowo na każdą osobę. Wszakże i tu najniższe tylko urzęda są dostępne dla kobiet i choćby one były najzdolniejsze i najpilniejsze w spełnianiu powierzanych im czynności, nie mają prawa do żadnego awansu, któryby im w nagrodę pracy, lepszy byt zapewniał.

W drukarni cesarskiéj pracuje 319 kobiet, z płacą od 2-ch do $2^1/_2$ franków dziennie, wtedy kiedy płaca mężczyzn wynosi 4 franki do 6-ciu. „Ta niższość wynagrodzenia kobiet, tu jak gdzieindziéj pochodzi z braku ich specjalnego wykształcenia, zmuszającego je do zajmowania się tylko mechanicznemi robotami, lub takiemi w których praca umysłowa mały przyjmuje udział.”

„Co do urzędów w archiwach, również wymagają one od kobiety która by je spełniała takiego wykształcenia, jakie posiada mężczyzna. A jednak były kobiety, które się pokazały bardzo zdolnemi do urzędów bibljotekarek i archiwistek. Pani Calonne np. 42 lata była archiwistką i zostawiła po sobie wspomnienie kobiety obdarzonéj niezmordowaną pracowitością i zadziwiającą pamięcią, tak potrzebną do czynności tego rodzaju.”

„Gdyby ta sama pani de Calonne urodziła się teraz, to pomimo wielkich zdolności swoich, mimo swego ubóstwa i obowiązków rodzinnych, które pracę czyniły koniecznym warunkiem jéj bytu, zostałaby prawdopodobnie usuniętą od pracy, na jakiéj zostając tak bardzo pokazała się użyteczną, a to dla tego, że dziś aby zostać bibljotekarką lub archiwistką, potrzeba odbyć wprzódy trzyletnie kursa w szkole — zamkniętéj dotąd dla kobiet.”

„Nie żądam bynajmniéj, aby zniesionemi dla nas zostały pewne warunki naukowe w pewnych wymagane położeniach, ale domagam się, aby zdobycie tych warunków zostało dla kobiet umożebnionem. Jeżeli dla zostania pomocnicą bibljotekarza trzeba umieć składać heksametry i pentametry, deklamować Horacjusza i Wirgiljusza, recytować na pamięć pastorale łacińskie i módz spoczywać pod cieniem modrzewiów za pośrednictwem prozodji czułego Tityra, jeżeli mówię dla otrzymania prawa dla opylania książek w bibljotece, trzeba tyle nauczyć się, tyle posiąść mądrości, więc cierpliwości, panowie! może też tę naukę, tę mądrość i my kobiety zdobyć potrafimy! W każdym razie nikt nie ma prawa stawać na drodze do żądanego urzędu téj, która chce i umie układać stopy wierszowe.

W zarządzie telegrafów i kolei żelaznych p. Daubié dopomina się także o urzęda dla kobiet. Tu już stoi na przeszkodzie nie sam brak umiejętności, ale jeszcze obawa o czystość obyczajów.

„Są tacy którzy dowodzą, że zatrudnienie kobiet w biórach telegraficznych, niebezpiecznem było by dla moralności z powodu połączenia urzędników obu płci w jednych salach. Uwaga ta jednak nie jest dobrze uzasadnioną, bo można by przecie przeznaczać jedne biura wyłącznie dla kobiet, a drugie dla mężczyzn, albo umieszczać razem braci i siostry, mężów i żony, ojców i córki!”

Zresztą łatwość z jaką kobiety we Francji wchodzą na drogę błędu, p. Daubié przypisuje głównie trudności z jaką zdobyć one sobie mogą byt materjalny, niskiéj skali ich wykształcenia, a z niéj pochodzącemu brakowi dostatecznego zarobku. Kobiety zatem oświecone gruntownie, posiadające byt materjalny i moralny spokój jakich, dostarcza sprawiedliwie wynagrodzona, umiejętna praca nie mogłyby obecnością swą przedstawiać niebezpieczeństwa, dla moralności obyczajów, czy to w salach biór telegraficznych czy gdzieindziéj.

Jak często bywa, w przesadnéj o dobro publiczne obawie, skutek wzięty jest za przyczynę, a to niezrozumienie istoty rzeczy, szkodę zamiast pożytku przynosi ogółowi.

Anglja i Ameryka oddawna dają kobietom w téj gałęzi pracy, takież przywileje jak i mężczyznom. Zarząd prywatnych telegrafów w Londynie znany z akuratności swego działania, używa pracę przeszło 130 kobiet. W Szwecji i Niemczech kobiety przyjmują znaczny udział w pracach przy telegrafach podejmowanych.

Skończywszy uwagi swe o urzędach przystępnych dla kobiet, p. Daubié u wstępu do dwóch innych

rozdziałów pyta znowu: *Jakie środki utrzymania się mają kobiety?* Tu już odpowiedź straszna jest i przerażająca umysł. zamyka się zaś w jednym wyrazie: Prostytucja.

Pogląd autorki na tę ranę społeczną będącą wszakże źródłem bytu dla wielkiéj ilości kobiet, streszcza się w godłach położonych przez nią na czele każdego z dwóch rozdziałów. Jedno z nich wzięte z Montesquieu'go: „Tyle nieszczęść łączy się z utratą cnoty kobiecéj, upadek jéj tyle sprowadza innych upadków, iż niepowściągliwość publiczną uważać można za największą klęskę narodu". Drugie z Raspaila brzmi jak następuje:

„Pragnę, aby mężczyzna który zdradza kobietę, któryją zbezcześcił, był srożéj zbezczeszczonym od niéj, boć przecie kobieta popełniając błąd nie kłamała przynajmniéj, a on kłamał jéj tysiącem obietnic jakich dotrzymać ani myślał; kłamstwo zaś wszelkie jest najobrzydliwszym z występków. Musimy zaprawdę pozostawać w stanie wielkiéj jeszcze dzikości obyczajów i wyobrażeń, jeżeli szanujemy kłamcę a okrywamy pogardą słabą istotę, która oszukaną została."

I znowu jako źródła téj plagospołecznéj prostytucji, autorka wskazuje upośledzone położenie kobiety w obec nauki i pracy, brak opieki jaką prawodawstwo udzielać jéj winno. Pierwsze zdanie najzupełniéj jest słusznem, bo gdyby kobieta dopuszczoną była do wyższych umiejętności a przez nie dostępowała korzystnéj moralnie i materjalnie pracy, obyczaje musiałyby uledz znacznéj przemianie, a za sobą pociągnęłyby reformy w prowodawstwie.

W kilku rozdziałach składających drugą połowę książki, p. Daubié domaga się dla kobiet obdarzonych talentem do którejkolwiek ze sztuk pięknych szkół specjalnych, takich jakie egzystują dla mężczyzn, szkół rysunku i muzyki. Dla tych które mają pociąg do medycyny, proponuje stanowiska wiejskich lekarek, mogących niezmierne, a rozmaite korzyści przynieść ludowi, a także idąc za zdaniem mnóstwa najpoważniejszych pisarzy dowodzi, iż kobiety powinny być przez kobiety leczone.

Nie widzi też żadnéj przeszkody w dopuszczaniu kobiet do adwokatury, a przynajmniéj znajduje koniecznem, aby kobieta używająca praw obywatelskich to jest: mająca przywiléj rozporządzania się tem co posiada i odpowiedzialna za przestępstwa, jakie przeciw prawodawstwu swego kraju popełni, mogła zaznajomić się z tem prawodawstwem, przypuszczoną będąc do uczenia się go tak jak mężczyzni. Nakoniec, autorka żąda przypuszczenia kobiet do wotowania na urzędników i członków Ciała Prawodawczego. Znajduje, że ponieważ kobiety podległe są prawie tak jak i mężczyzni, nie powinny też być obce jego tworzeniu; ponieważ płacą podatki tak jak i mężczyzni, winny też brać udział w wotowaniu budżetu, ponieważ mają dzieci, które wychowują często bez mezkiego nawet współdziałania, kwestje tyczące się oświecenia publicznego nie powinny być bez nich roztrzygane.

To samo powtarza p. Daubié i przeciw prawodawstwu, które obciąża kobiety podatkami nie dozwalając, aby same w Prawodawczych Zgromadzeniach reprezentowały swe interesa, podnosi oręż kobiecego rozumu który, wedle jéj zdania, dorównać może mądrości wielu wyborców i deputowanych mężczyzn.

„Zdaje mi się, że pomiędzy 18,000,000, kobiet francuzkich, mogłyby gdzieniegdzie znaleść się takie, które by rozumem dorównały wyborcom za całą moc swéj niemiéj wymowy, posiadającym kolor swéj gałki, wyborcom z których jeden zapytany w czasie wotowania: *Comment opinez vous?*" odpowiedział: „*Je topine comme les autres! qu'opinez-vous? Je quopine comme les autres.*"

Wiadomo powszechnie, że ta sama kwestja dopuszczenia kobiet do wotowania na urzędników i deputowanych, żywo została poruszoną niedawno w Parlamencie Angielskim, przez Stuarta Milla. Pomiędzy innemi argumentami, znakomity Ekonomista przytaczał następny, którego słuszność przyzna każdy, ktokolwiek posiada prawdziwie zdrowy rozsądek.

„Oto naprzykład w jednéj z większych ferm, Angielskich zostaje wdowa, kobieta czerstwa, gospodarna, obdarzona wysoką zdolnością praktyczną i energją. Po śmierci męża, który jéj kilkoro zostawił dzieci, ochoczo ujęła na barki ciężar wiejskiego gospodarstwa, które pojmuje roztropnie i umiejętnie prowadzi, utrzymując w dostatku liczną rodzinę, rządząc domownikami i czeladzią. Wstaje rano, dogląda prac rolnych, napędza do roboty parobków, opłaca podatki, dzieci posyła do szkół. Współcześnie kobieta owa tak dobrze spełniająca powinności człowiecze i obywatelskie, liczy się w publicznem życiu narodu jako zero. Gdy przyjdzie chwila w któréj naród wybierać będzie ludzi mających prawa dla niego stanowić, parobek jéj za tym lub owym kandydatem rzuci swoje veto, a pracowita i rozumna kobieta, nie będzie miała przywileju przyłożyć się do wybrania tego, któryby według niéj najsumienniéj i najumiejętniéj ustanowił te podatki które ona opłaca, i te szkoły do jakich ona dzieci swoje posyła lub posyłać będzie." (Stuart Mill w korespondencji z Augustem Comte'm:)

„Niechaj kobiety, pisze p. Daubié, mają udział we wszystkich naukach i działaniach dziś tylko mężczyznom dostępnych. To co się na nic nie przyda jednéj, dla innéj wielce pożytecznym być może. Tego co nie będzie im przynosiło korzyści, kobiety same ani uczyć sie ani czynić nie zechcą, a wtedy ci którzy niechętnie rozszerzą nasze prawa i przywileje, będą mieli przyjemność widzieć nas w położeniu owego paralityka, któremu dozwolono ubiegać się o nagrodę w konnych wyścigach."

„Dajcie nam, raz jeszcze powtarzam, dajcie nam szkoły wyższe i specjalne, egzamina, stopnie uniwersyteckie, konkursa wspólne dla obu płci, prawo zajmowania posad naukowych i urzędowych, a potem rozwijajcie już sobie dowoli wasze wzniosłe, wasze chrześcijańskie, teologiczne i filozoficzne teorje o niższości naszéj płci."

„Tak zwani wielbiciele kobiet, wzbraniają im prac poważnych przez obawę, aby wdzięki kobiet nie doświadczyły szwanku śród kurzawy bibljotek i trudów, towarzyszących każdemu zajęciu pojętemu na serjo. Ta pełna uprzejmości surowość, dość uzasadnioną jest, nawet gdy się zwraca do kobiet bogatych. Do nich, ja sama zwróciłabym się mówiąc: „Nie zstępujcie pieszczoszki moje z piedestałów waszych! Śliczna nóżka zgrabna, rączka i cała tak wdzięczna postać wasza, straciłyby na tem więcéj niżby zyskało społeczeństwo. Zresztą w jakiejże Świątyni palonoby kadzidła hołdów, jeślibyście wystąpiły z ołtarzów? Ale dla nas, dla nas ubogich kobiet z dziennego żyjących zarobku, w naszem twardem życiu, narażonem na wszelkie zmiany i niepogody, praca umysłowa była zawsze wytchnieniem po znojach dziennych, radośną stacją, krótką chwilą uspokojenia.

Pomiędzy krańcowemi pojęciami, z których jedno chce kobietę rzucać pod stopy mężczyznie, a drugie zgina przed nią jego kolano, widzę prawdę ukazującą obie płcie jako równe sobie w obec praw i obowiązków i przeznaczone do wzajemnego pomagania sobie na drodze do doskonałości."

Ostatnie te wyrazy autorki prawdziwe są i piękne, ale poprzednia ironiczna apostrofa do kobiet bogatych, zachęcająca je aby nie zstępowały ze swych piedestałów, literalnie być rozumianą nie powinna. Pisząc ją autorka musiała mieć na myśli te z pomiędzy kobiet bogatych, które już zepsute próżniactwem i pochlebstwami gardzą wszelką poważną pracą, ale nie te, które śród bogactwa wprawdzie urodzone, wchodzą dopiero w życie nieświadome świata i spraw jego, a w sercach swych i głowach niosą może najpiękniejsze materjały, potrzebujące tylko stosownego ukształcenia, aby wydać świetne rezultaty. Tę różnicę autorka uniesiona goryczą panującą zresztą w całéj jéj książce i niezmiernym żalem nad dolą kobiet ubogich, zapomniała wyraźnie określić i najniesłuszniéj do wszystkich kobiet bogatych skierowała swą apostrofę, pozwalającą im niejako zostawać w dotychczasowym stanie obojętności do wszystkiego, co poważne i wielkie. A jednak nauka i praca kobiet bogatych, nie jest wcale mniéj ważną dla świata, jak także nauka i praca kobiet pozbawionych majątku, bo jeżeli ostatnie za pomocą tych wielkich dźwigni potrzebują zdobywać sobie byt materjalny, to pierwsze z niemi tylko zachować go mogą, a moralne udoskonalenie w stosunkach do kobiet bogatych, tem większéj nabiera wagi, im większe wpływy wywierać one mogą na społeczność przez posiadane środki oddziaływania i wysokie swe w społeczności położenie. Książka napisana o nauce pracy kobiet bogatych, nie była by ani mniéj zajmującą ani mniéj ważną, jak także poświęcona doli kobiet ubogich. Co zaś do kadzielnic palących przed ołtarzami kobiet bogatych ofiary hołdów i pochlebstw, to te odgrywają w obec nich także rolę, jak proste zdradzanie kobiet ubogich, i tak jak to ostatnie prowadzi za sobą prostytucję, tak pierwsze nihilizują w kobiecie bogatéj zmysł prawdy i moralności, i prowadzą ją częstokroć do takichże upadków, osłonionych tylko z lekka piękniejszemi pozorami, w gruncie zaś tak samo szkodliwych i bolesnych.

W ogóle możnaby zarzucić dziełu panny Daubié zbytnią gorycz i przesadę, tchnącą z wielu pojedynczych jego ustępów. Ale przy czytaniu każdéj książki z treścią poważną, należy wzgląd mieć na to, że jak różnokolorowy haft rozkłada się na kanwie, tak przytaczane fakta i oderwane zdania autora, rozsnuwają się zawsze na tle jednéj zasadniczéj, przewodniéj myśli. Wypukłości haftu łatwiéj wpadają w oko niźli tło kanwy, a jednak ono to właściwie jest podstawą i spójnią roboty, i jego to barwa stanowi główne harmonją całości. Myśl zasadnicza, idea przewodnia, musi istnieć w głębi każdéj poważnéj i dobrze napisanéj książki, i nad nią głównie zastanowić się należy przed wydaniem o książce téj stanowczego sądu.

Myśl zasadnicza przewodnia książki p. Daubié daje się zamknąć w następnych słowach:

Kobieta powinna być równą mężczyznie w obec praw i obowiązków, a dla tego żeby stała się taką, musi wprzódy zostać równą mu w obec światła.

Albo:

Aby kobieta mogła pracować z takąż korzyścią dla siebie i innych jak mężczyzna, powinna mieć prawo do nauki takie, jakie dotąd jeszcze posługuje tylko mężczyznie.

Tak więc, stopień umiejętności przyswojony przez kobiety, pokazuje sie podstawą ich pracy, a praca rękojmią moralności jednostek, która znowu buduje moralność publiczną, będącą siłą narodów.

W ten sposób postępując od przyczyny do skutku i od skutku do przyczyn, myśl zasadniczą książki panny Daubié, dosięga owego głębokiego słowa

Lejbnitza, „powierzcie mi kierunek wychowania młodzieży, a zmienię postać świata.”

Krótki ten rzut oka na książkę, najdosadniéj może z dzieł spółczesnych malującą położenie pracujących za domem kobiet we Francji, ułatwić może znacznie przyjrzenie się stanowi pracy kobiecéj u nas, każdemu kto na tę pełną wagi kwestję społeczną nie patrzy lekceważąco albo z powziętem z góry niekorzystnem do niéj uprzedzeniem. Wprawdzie, wszystko o czem pisze p. Daubié daleko się od nas dzieje, ale prawda wszędzie jest prawdą, a idee najważniejsze dla ludzkości posiadają zadziwiającą z sobą solidarność; tryumf idei z niesłychaną szybkością przebywa lądy i morza i rozlega się tam nawet, gdzie najmniéj spodziewano się dosłyszeć jego odgłosy.

Za pośrednictwem tych to idei narody, podają sobie dłonie pomocne, przez rozmaite przestrzenie czasu i miejsca. Któż obliczy wpływy wywierane na nasze stulecie, przez którykolwiek z olbrzymich wypadków zdarzonych przed wiekami, a mających źródło w idei?

Przegląd literacki.

Łzy i Uśmiechy, *poezje Antoniego Kolankowskiego.* Warszawa 1870 r. str. 125.

Ludzie z sercem i pewnem wykształceniem naukowem, obok zajęć praktycznych, niekiedy, jakby dla rozrywki, w swobodniejszéj chwili napiszą wierszyk jeden i drugi, tak że z czasem zbierze się spora wiązanka, świadcząca widocznie, iż autor, jeśli nie jest z góry namaszczonym kapłanem poezyi, to przynajmniej należy do gorących jej wielbicieli, składających jej szczere ofiary, ale skromniutkie i nie zawsze godne jéj wielkiego majestatu.

Wiadomo również każdemu, iż dla urzeczywistnienia piękna, różnego używa się materyału, słowo, dźwięk, kolory, albo też marmur i wszelki materyał plastyczny są zwykłym dla mistrza środkiem do uwydatnienia idei w formie pięknej. Stosownie do swojego uzdolnienia, mistrz wybiera ten tylko materyał, którym włada swobodnie, który pod jego ręką nabiera życia i staje się ciałem jego ideałów. Największy geniusz poetyczny nie jest w stanie władać na raz kilku środkami; historya poezyi w ogóle, a sztuk pięknych w szczególe, wymowne daje nam tego dowody. Biada mistrzowi jeśli zostając pod wpływem przemijających okoliczności, pomyli się w wyborze materyału, straci swą godność i stanie się samozwańcem. Zwykle jednak, prędzej lub później poznaje swój błąd i zwraca się na drogę właściwą. Jest przecież jeden materyał, którego każdy urodzony poeta bez popełnienia błędu, używać może, a tym jest samo życie. Piękny czyn najwyższą zawsze będzie poezyą.

Otóż są ludzie szlachetnego serca, gotowi zawsze do pięknego czynu, którzy miewają zachcianki probowania sił swoich w poezyi słowa... próby te naturalnie są tylko próbami i zwykle zostają w ukryciu, jako miłe pamiątki rodzinne lub przyjacielskie upominki, ale nigdy nie występują i występować nie powinny, przed ogółem czytających. Biedne pamiątki i upominki, spotka je co najmniej zimny uśmiech politowania... i to czyj jeszcze?

Utwory pana K. przeczytaliśmy z przyjemnością; ożywiają je wszędzie uczucia szlachetne, swojskie, pełne gorącej wiary, żadnem zwątpieniem niezmrożonej, ale rym pospolity, zwroty prozaiczne i siła obrazowania, będąca probierczym kamieniem każdego poetycznego utworu, bardzo słaba, żadna zaś stylistyczna wprawa zastąpić jéj nie może. Niektóre wiersze pana K. są wcale udatne, mianowicie też te, które już dawniej drukowane były po pismach peryodycznych, ale próżno w nich szukać oryginalności, co chwila budzą się jakieś reminiscencye Lenartowicza, Pola, a najwięcej Syrokomli.

Aniela jest *szkicem* w samej rzeczy, ale *nie dramatycznym*, bo z niego nigdy nie mógłby powstać dramat, dla tej prostej przyczyny, że mu brak jedności akcyi. Jako zdyalogowanych kilka obrazków społecznych, szkic pana K. ma swoją wartość, bo zasadnicza jego myśl piękna, język poprawny i odpowiedni do charakteru osób, które nim przemawiają.

Łzy i uśmiechy, chociaż nie są arcy-dziełem, więcéj przecież warte, niż tyle innych książek z szumnemi tytułami, w każdym razie miłą pozostaną pamiątką dla przyjaciół i sąsiadów pana K. i to pamiątką, na którą nie byle kto zdobyć się może.

Pieśni liryczne *Władysława Bełzy.* Warszawa 1868 r. stron 24.

Oratores fiunt poetae nascuntur mawiali starzy i do pewnego stopnia mieli słuszność, powiadamy do pewnego stopnia, gdyż p. B. swojemi utworami protestuje przeciwko temu axiomatowi. Pan B. urodził się na poetę, a jeszcze nim nie został. W młodocianych jego utworach pisanych na ławkach szkolnych, przebijał się niezaprzeczony talent, i budził wielkie nadzieje. Dla czego się one dotąd nie ziściły? dla czego pomiędzy publikacyami p. B. znajdują się istne perełki, ale daleko więcej szychu bez żadnej wartości? Dla czego się autor w kółku jednych myśli i obrazów wciąż obraca? dla czego?.. ale dosyć tych pytań, na które ani pytany, ani pytający odpowiedziećby nie mógł lub nie chciał.

Mamy przed sobą *Pieśni liryczne*! Niech żyje postęp! świetny tytuł, to jak wystawa sklepowa, pociąga, nęci, wiele obiecuje, ale niestety zbyt często zawodzi! Pomimo manierowanéj czułości, odznaczającéj zwykle utwory pana B. w małym tym zbiorku ani jeden wiersz nie jest właściwie *pieśnią*, a do tego *liryczną*, o nie lirycznych pieśniach nie ma co i mówić. Już to trzeba przyznać, iż niektórzy poeci nasi najnieszczęśliwiéj i najniewłaściwiéj dobierają tytuły do swoich utworów. Pretensyonalność lub spekulacya złemi są zawsze doradcami, nie śmiemy zaś przypuszczać, aby sam autor nie umiał tego nazwać, co napisał. W obecnym zbiorku najpiękniejszym jest wiersz p. t. *Czemu*? może właśnie dla tego, że skromny, a odznaczający się prawdą uczucia. Nie możemy tego powiedzieć o gładkim wprawdzie urywku, ale nie zawierającym ani jednéj myśli oryginalnéj, p. t. *Nad kołyską*. Kobietom zawsze lepiéj udawały się tego rodzaju temata. *Feniks* z Heinego, prześlicznie oddany, wskazuje nam, że pan B. mógłby istotną oddać przysługę naszéj literaturze przekładami obcych poetów. W amfatycznym wierszyku z Wiktora Hugo, dla czego pan B. z dziewczyny zrobił dziecko? Francuzi mają zwyczaj, odzywając się do młodéj dziewczyny, nazywać ją *enfant*! ale u nas to nie uchodzi, staje się nawet śmiesznem: Str. 12.

Dziecię! gdybym *był Bogiem*, to dałbym *dla Ciebie*
I djadem z gwiazd złotych i aniołów w niebie!
I bezmiary wieczności i chaosu cienie,
I niebiosa i słońce — światło i promienie,
Za jeden *całus* twój *dziecię*!

Powiedzieliśmy wyżéj, iż pan B. nie może się pozbyć naśladownictwa, aby nas o jakąś niechęć przeciwko autorowi nie posądzono, przytaczamy wiersz p. t. *Droga do Nieba*, a jesteśmy pewni, że czytelnik od razu zawoła: to Lenartowicz!

Mateńko moja, powiedzcie jeno,
Jaką do nieba trafić dróżyną?
Czy to jest droga żywotu wieczna,
Co lśni na niebie, jak wstęga mleczna?
Czy jaka inna ukryta może,
Która prowadzi w królestwo Boże?

J. P.

Korespondencja Tygodnika Mód.

Lwów w Listopadzie 1871 r.

(Posiedzenie doroczne w zakładzie Ossolińskich i stan obecny téj instytucyi. — Zamknięcie sejmu i jego ostatnie prace. — Uchwała sejmu w sprawie teatru Lwowskiego. — Posiedzenie towarzystwa przyjaciół sceny. — Zbiorowe wydawnictwa. — Nowe pisma. — Goście. — Nowe nazwy ulic. — Drożyzna pomieszkań.)

Coroczna uroczystość otwarcia Zakładu Ossolińskich po dwumiesięcznych ferjach, miała miejsce w tym roku jak zawsze 12 października. Uroczystość ta odbywa się cicho i skromnie, a przecież mimo to sala zakładu zapełnioną jest zawsze słuchaczami, dla których właśnie ta skromna powaga ma wielki urok. Całego przebiegu uroczystości nie będziemy opisywać, bo odbyła się ona tak samo jak w roku ubiegłym. Odczytanie spawozdania obszernego, przemowy kuratora księcia Jerzego Lubomirskiego i dyrektora Augusta Bielowskiego stanowiły cały program uroczystości. Ze sprawozdania tylko przytoczymy szczegóły, które mogą wyjaśnić stan zakładu i jego wzrost w ostatnim roku.

Ze sprawozdania o stanie majątkowym zakładu Ossolińskich dowiadujemy się, że jego majątek ogólny wynosił w roku ubiegłym 142,250 złr. w. a. w efektach i 466,605 złr. w. a. w wartościach, zapisach, ruchomościach, nieruchomościach i gotowych pieniądzach. Są to sumy na pozór wysokie, ale wcale nie wystarczają na utrzymanie zakładu na takim stopniu, do jakiego zakład Ossolińskich słusznie rościć sobie może prawo. Kuratorja nie może obrócić odpowiedniej kwoty na zakupno nowych dzieł i utrzymanie odpowiedniej potrzebie liczby urzędników. Dochody zakładu wystarczałyby może w obecnym stanie tylko na utrzymanie status quo. Cały nadzwyczajny wzrost zakładu w ostatnim roku jest tylko pięknym owocem gorliwych i skutecznych zabiegów księcia kuratora i życzliwości, jaką sobie bibljoteka Ossolińskich nawet po za granicami kraju zjednać potrafiła. Dzięki tak pomyślnemu zbiegowi wypadków, zbiory zakładu obejmują obecnie według ostatniego sprawozdania: 61,824 dzieł drukowanych unikatów, 3,133 dubletów, 4,430 prób druku, 1,895 rękopisów, 2565 autografów, 427 dyplomów, 11,839 rycin, 55 podobizn, 1 181 rzeczy muzealnych, 562 map i planów, 1,697 monet polskich, 466 obrazów. Muzeum przyrodnicze obejmuje 376 okazów muszli, zbiór geognostyczny Zejsznera składający się z 493 okazów, zbiór oryklognostyczny składający się z 837 okazów, a wreszcie 266 okazów różnorodnych i bogaty zbiór owadów i konchiliów nabyty od znanego badacza przyrody K. Pietruskiego. Te cyfry porównane z zeszłorocznemi wykazami statystycznemi dowodzą, że zbiory zakładu Ossolińskich znakomicie się wzbogaciły. I tak przybyło w ostatnim roku: 1,134 dzieł drukowanych unikatów, 197 dubletów, 13 autografów, 23 rękopisów, 5,106 rycin (zbiór księcia kuratora), 30 rzeczy muzealnych wreszcie 47 map i planów. W poprzedniej korespondencji przy opisie wystawy wymieniliśmy darodawców, którzy znakomicie przyczynili się do tego wzrostu zbiorów. Za wszystkie te dary złożył zakład na posiedzeniu publiczne podziękowanie.

Sporą część sprawozdania poświęcono reformom zakładu, a mianowicie utworzonej w ubiegłym roku drugiej czytelni dla literatów i uczonych tudzież sekretarjatowi oddziału naukowego, który ma zawiązywać i utrzymywać stosunki pomiędzy zakładem Ossolińskich, a innemi zakładami naukowemi w kraju i za granicą. O korzyści tych reform mówiliśmy już dawniéj, więc obecnie tylko nadmienić należy, że nadzieje do nich przywiązywane wcale nie zawiodły. I tak, według dokładnych obliczeń, korzystało z czytelni naukowéj w siedmiu miesiącach 955 gości, którym wydano razem 43 rękopisów, 1,600 dzieł drukowanych w 2,875 tomach. Sekretarjat naukowy powierzony Władysławowi Łozińskiemu pozawiązywał korespondencje z zakładami naukowemi i zostaje w ciągłej komunikacji ze światem naukowym przy pomocy korespondentów i agentów zakładu w Krakowie, Poznaniu, Wiedniu, Bernie, Pradze, Paryżu i Gdańsku, gdzie funkcje te pełni konsul angielski Artur Wiliam White, znający dobrze język polski i jego literaturę.

Wydawnictwo zakładu było w ubiegłym roku bardzo czynne. Oprócz wspaniałego wydania biblji królowej Zofji, dokonanego bardzo starannie przez dr. Antoniego Małeckiego, zakład kończy właśnie obecnie druk pierwszego tomu kodeksu Tynieckiego wydawanego staraniem dr. Władysława Skrzydylki.

Ze sprawozdania pokazuje się dobitnie, że zakład Ossolińskich w ostatnim roku pod każdym względem podniósł się znakomicie, co niezawodnie ucieszy każdego, zwolennika nauki.

(d. n.)

Pogadanka.

Dawna piosenka: lecą listki z drzewa, gdy nad mogiłą świegoli jakieś ptaszę z pól zabłąkane, powinnoby się nazywać nie miłosną, jak ją niegdyś mianowano, ale listopadową. Tak niestety! lecą już liście, ranki nie rumienią się słoneczną purpurą, ale bielą przymrozkami: Saski ogród nie szepcze tajemniczych słów o cudach wiosny i lata, ale szeleści zeschłym liściem, a smuci nagiemi konarami gałęzi, niegdyś tak strojnych i wabnych zielenią. Gdzie spojrzyć wszędzie przygotowania do spodziewanéj walki z ostrą zimą: wodotryski otulają okryciem, okna kitują i szczelnie zamykają, galary z jabłkami wypróżniają, letnie łazienki zabezpieczają przy brzegach od spodziewanych nawał lodowych, a po domach wydobywają z przechowań futra i cieplejsze

okrycia, ze smutkiem spoglądając na drzewożerne piece, coraz już natarczywiéj domagające się zimowéj dla siebie strawy. Oj! z tem drzewem, węglem i drożyzną to prawdziwa łamigłówka, szczególniéj dla całéj klassy pracowników stale na utrzymanie życia pensjonowanych. Kupiec, przemysłowiec, fabrykant, rzemieślnik, każdy wreszcie żyjący z własnego zabiegu i krzątania się o zdobycie kawałka chleba, owoce swojéj pracy podniesie w cenie o dziesięć lub dwadzieścia procent, jak to zrobili piwowarzy warszawscy, i jakoś wszystko się wyrówna. Ale co zrobią owi pracownicy w stałe zaopatrzeni fundusze, nie mogący żadnym sposobem wartości rubla podnieść do ośmiu złotych?

Nic też dziwnego, że gdy koncerta czterdziestogroszowe p. p. Lewandowskiego w resursie obywatelskiéj, a Sonenfelda w Szwajcarskiéj dolinie, cieszą się dość licznemi, a często bardzo nawet natłoczonemi zebraniami, koncert w towarzystwie muzycznem dla członków rublowy, a dla nienależących do niego na dwa ruble za bilet oznaczony, zgromadził nader szczupłą liczbę słuchaczy, tak, że w sali dobrze pustki przyświecały. Drogość tę muzycznych przyjemności, komitet towarzystwa ma wziąść pod bliższą rozwagę, co już dobrym jest znakiem dla saméj kwestji nieraz przez pisma podnoszonéj. Towarzystwo powinno ją rozwiązać koniecznie w sposób uwzględniający nasze niezamożne kieszenie, bo celem jego jest rozszerzanie zbawiennego wpływu muzyki wszelkiemi środkami, jakiemi może rozporządzać, a więc i koncertami, których uprzystępnienie dla ogółu niezmiernie ma ważne znaczenie. Pojedynczy artysta niech sobie przecenia swój talent jak mu się podoba: niech go szacuje kilkorublowemi biletami za wystąpienia, niech się cieszy pieniężnem ich powodzeniem lub smuci brakiem spodziewanych korzyści, wszystko to mu wolno robić pomimo wymówek i narzekań publicznych, ale Towarzystwu nie wolno i nie przystoi. Instytucja taka jak towarzystwo muzyczne, licznym współudziałem publicznym dość w pieniądz zaopatrzona, w urządzaniu przez siebie koncertów, nie powinna mieć wyłącznie na widoku zarobku, tylko korzyść moralną ogółu. Gdyby nawet nader mało na nich zarabiała, to już samo ułatwienie poznania i usłyszenia tego co obcem jest dla wielu, byłoby wielkiéj doniosłości.

Znając członków komitetu, mamy nadzieję, że kwestja ta w pożądany sposób załatwioną zostanie. Z cenami więc za bilety wejścia na koncerta pomału uporządkujemy się, ale co poczną kuchnie tanie zagrożone podnoszeniem się cen żywności, i opuszczeniem ich zupełnem przez panie dyżurne, których brak współudziału zmusza zarząd do urządzenia płatnéj pomocy, a więc do podniesienia jeszcze wydatków, których i tak nie ma czem zaspakajać? Niechęć tę a raczéj oziębienie pierwiastkowego zapału do posługi w tak zacnym celu, nie wiem jak nazwać i czemu przypisać. Aby zarząd wydobyć z kłopotu, potrzeba tylko stu pań najwyżéj do każdéj kuchni, z którychby każda raz na miesiąc poświęciła trzy godzin czasu, od godziny dwunastéj w południe do trzeciéj, dla dobra tak pożytecznéj instytucji.

Trzy godzin czasu i to raz na miesiąc, czyż to tak wiele? Czyż Warszawa mająca przynajmniéj dziesięć tysięcy pań nie zajętych zbyteczną pracą, nie może uzyskać z nich dwustu lub trzystu do pomocy, w tak zacnem niezmiernie przedsiewzięciu?

Kuchenna ta sprawa podnoszona już publicznie i to daremnie, strasznie w smutnéj, jesiennéj przedstawia się barwie.

Możnaby na ten temat wiele napisać, o braku wytrwania, pragnieniu głośnych poświęceń, o niedostatku tego i owego, co podnosi, uzacnia i wszystko zmienia z gruntu, ale jestem w wielkiéj obawie o narkotyczne własności podobnie erotycznych ustępów..... Przechodzę więc w jednym podskoku, jakiego najzręczniejszy tancerz na balu, choćby danym na korzyść nędzarzy całego świata, mógłby mi szczerze pozazdrościć, do dwóch kwestji dość żywo zajmujących pewne kółka Warszawy.

Pierwsza jest to sprawa czysto męzka kapeluszowa. Idzie w niéj o to: czy w miejscach publicznych mamy z nakrytą czy z obnażoną siedzieć głową? Za wprowadzeniem nakrywania głowy przemawia wszystko, przeciw niemu występuje zwyczaj niemal w nałóg przemieniony, uważający kapelusz na głowie w pewnych razach przynajmniéj za brak uszanowania lub junakierji nie każdemu się podobającéj. Dla czego kapelusz na głowie tak obmówiono, dlaczego przy pełnieniu wiernie swych obowiązków pomawiany jest o hardość i zuchwalstwo, a przy zaniedbywaniu ich chwalony z pokory i uprzejmości, jest to jedna z tajemnic ducha naszego, uważającego niektóre barwy za godła smutku, a drugie radości lub dumy. Wszakże panie nie są obowiązane do zdejmowania swych kapelusików, nawet w świątyniach czci Bogu poświęconych, i nie mamy im tego za złe zważając na kłopot, jakiby im sprawiało usuwanie z głowy tego subtelnego, licznemi przypięciami zaopatrzonego przystroju. Wprawdzie zdjęcie kapelusza męzkiego łatwiéj się odbywa i w jednéj chwili dopełnione być może, ale co z nim zrobić w cukierni, w jadalniach, handlach, bawarjach przy większym cokolwiek natłoku publiczności?

Trzymanie w ręku odbiera swobodę, postawienie na stole naraża na poplamienie, umieszczenie dalsze bez mienia go na oku na przemianę rzadko korzystną, słowem kapelusz trzeba męczyć w ręku, czyli mieć tylko jednę do rozporządzenia. Niewygoda to wielka, unikamy jej na maskaradach, w teatrach letnich, w salonie Szwajcarskiej doliny, dlaczegoż nie mielibyśmy pozbawić się jej w innych miejscach? Mam więc nadzieję, że pomału sprawa ta kapeluszowa w pożądany dla mężczyzn rozwiąże się sposób i przyjmiemy zwyczaj już dziś powszechnie praktykujący się za granicą, nie zdejmowania kapeluszy pod dachem publicznych zebrań, czy to dla zabawy czy interesu przeznaczonych. Druga kwestja cokolwiek twardszy przedstawia orzech do zgryzienia, i nienader pochlebnie przemawia za naszem wyrobieniem społecznem.

Mam tu na myśli butę pewnego małego na szczęście kółka młodzieży, o którem już w jednej z pogadanek wspominałem. Jest to gronko niezmiernie butne, harde, zarozumiałe a szczególniej trapione żądzą sławy, rozgłosu i pragnące dobić się ich gwałtem, choćby przebiciem muru głową. Od lat kilku szarpiąc i napadając na wszystko i na wszystkich, w ekscentrycznych wyskokach pióra, najczęściej bez ładu i składu przedstawianych, pomijane z milczeniem przez napadniętych, coraz bardziéj wpadało w niecierpliwość do śmieszności niemal posuniętą. Kronikarz Tygodnika illustrowanego w jednym z ostatnich numerów tego pisma wystąpił wreszcie ze stosownemi uwagami i z największą przyzwoitością i umiarkowaniem, wytknął całą niewłaściwość ich postępowania. Jakkolwiek w kwestji téj pobieżnie podniesionéj, nie wymienił ani jednego nazwiska, ale w stół uderzyć jak powiada przysłowie, a nożyce zaraz się odezwą.

Odezwał się też Przegląd tygodniowy z artykułem bezimiennym zatytułowanym: *My* i *Oni*, a późniéj przemówiły Kolce w artykule zatytułowanym: Bojujący kościół literacki. W obydwu tych wystąpieniach, treść jedna: *oni* to jest dawni literaci, są już ludzie zużyci, zastygli w rutynie i tylko zawadzający młodym talentom, pragnącym wystąpić z nowemi ideami, z nowem światłem rozpraszającem ciemności, w której ogół dawniejszy pracownicy pióra rozmyślnie utrzymują. *My* zaś jest to owo gronko młodzieży, dla któréj jak powiadają Kolce: praca, talent, nauka, to słońce, przy promieniach którego ogrzewać się chcemy. Na promieniach tego słońca, pragnęlibyśmy, mówi daléj ten organ humorystyczny, posłać do serc ludzkich myśli nasze, promieniami tego słońca pragnęlibyśmy rozjaśnić sumienie ogółu. Myśmy tylko pogrozili tym co długiemi smugami cieniów swoich tamują drogę i ciepłu i promieniom słońca....

Takiemi więc ożywieni chęciami powiadają do starszych literatów: precz z drogi! ustąpcie nam! *My* bezinteresowni wy rachujący, wy strupieszali, my pełni życia, wy niedołęgi z lodowatem sercem i z zamarłą myślą, a my pełni zapału, ognia i poświęcenia. Precz więc z drogi!

W tak postawionéj kwestji chciałbym choć słówko przemówić. Żeby jednak nie posądzono mnie o występowanie we własnéj sprawie, jako obrażony lub dotknięty bezpośrednio, rzuconemi na podstarzałych literatów gromami, czuję się w obowiązku oświadczyć, że jakkolwiek liczę się do zastępów pracowników pióra, ale wszystko com dotąd napisał, jest tak skromne i małoznaczące, że jeżeli posiadam jakie uznanie, to więcéj winien to jestem przedmiotowi jakiemu się poświęciłem, wreszcie szczęściu, jak własnéj zasłudze.

Jeżeli zaś i w tem skromnem stanowisku, jakie zajmuję w hierarchii literackiego świata, zawadzam młodszym i zdolniejszym od siebie, to ich najserdeczniéj przepraszam, boć nie moja wina że jeszcze żyję, że nie spełniono na mnie zwyczajów dzikich ludów, umarzających głodem swoich weteranów. Nie za sobą więc głos podnoszę, ale w uczuciu boleści, że społeczność nasza posiada młodzież choć nie liczną, ale nie umiejącą być ani wdzięczną ani sprawiedliwą, nie szanująca istotnéj zasługi, a więc i swojéj godności. Przecenianie sił swoich, zbytnia w nie ufność, są to wady właściwe młodości, które praktyka życia nie wzmaga, lecz przycisza i przyciera; lekceważenie jednak niemal wzgarda tych co dobili się ciężką, mozolną pracą uznania, już coś więcéj jak na wadę zakrawa. Że zaś na to uznanie zestarzali w pracy literaci zasłużyli, świadczą dzieła przez nich ogłoszone, mozolne prace w różnych gałęziach wiedzy przeprowadzone, szperanie po bibliotekach, archiwach, założenie Biblioteki Warszawskiéj, pierwszego orgranu naukowego, wydobycie przez niego kilkanaście młodych talentow i pisarzy, rozwinięcie umysłowéj pracy, rozszerzenie szczupłego zastępu dawnych czytelników, wreszcie napisanie encyklopedji powszechnéj i wydanie różnych pamiętników i studij historycznych, stanowiących nader bogaty materjał dla przyszłych historyków. Pracownicy co się krzątali około tego, niektórzy stargali zdrowie, inni poślepli, przygarbili się, byli tacy co się zapracowali, a żaden z nich nie tylko na literaturze nie dorobił się mienia, ale często o chłodzie i głodzie prace swoje oddawał bezpłatnie do druku. Że dzisiejsza literatura perjodyczna tak się wzmogła, komuż to przypisać należy, jeżeli nie owym starym pogardzonym literatom, którzy jeszcze i dziś z pomocą młodych pisarzy zarówno skromnych jak zdatnych, stanowią główne jéj podpory?

Otóż wszystko to cośmy tu nader pobieżnie przedstawili, zrobili owi *oni* tak lekceważeni przez autorów obu artykułów. Pytamy się teraz na odwrót, co zrobili ci, co się ukrywszy pod chorągiew *my* domagają się pierwszeństwa i starszych od siebie detronizacji? Niech nam zacytują choć jednę dobrą książeczkę napisaną przez siebie, jeden artykuł z sensem i loiką wykończony, niech wymienią gdzie ich odpychają, kto zawadza, kto zabija w nich talent, kto i czem zaciemnia prawdy jakiemi chcą świat cały ubogacić, a przyznam chętnie że mają słuszność i stanę zaraz w ich obronie.

Pragniecie sławy i rozgłosu, pracujcie jak oni nie miesiące ale lata, długie lata, czasami pół wieku dochodzące: powiadacie żeście bezinteresowni, a czemuż jednego nie dacie wiersza do druku, żebyście wprzód dobrze się nie natargowali o jego zapłatę. Owi *oni* tomy czasami całe oddawali bezpłatnie, a zaczęli swój zawód kiedy praca literacka uważaną była za obowiązek, a nie za zajęcie zysk przynoszące. Powiadacie że wam owi *oni* nigdzie nie pozwalają pokazać co umiecie i do czego jesteście zdatni, a dla czegoż inna młodzież tak chlubnie pracująca przy pismach, skarg podobnych nie wygłasza? Wszakże sami nieraz przyznajecie że wkrótce więcéj będzie pism jak piszących, więc żądanie dobréj pracy jest wielkie, dla czegóżby was odpychano, gdybyście przynosili pomoc tyle pożądaną? Wreszcie macie nowe od kilku lat wychodzące pisma, przybędą jeszcze nowe, pola więc do popisu nie brakuje i możności pokazania swoich zdolności i wykształcenia, po cóż więc taka zjadliwa chętka zadławienia tych co mogą i chcą jeszcze pracować? Za lat nie wiele a samo to spełni się z naturalnego porządku rzeczy, opróżnione miejsca zajmiecie bez oporu, daj tylko Boże aby choć z połową téj zasługi i godności, jakie im nadali owi starzy i pogardzeni przez was literaci.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk. K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066*k*)   Дозволено Цензурою.   Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

(Dalszy ciąg).

— Może gdy mam tę przyjemność zbliżenia się, dodała lekko poruszając się ale nie wstając, jestem ciekawa indygatorka, mogłabym tu czem służyć i być pomocną zainformować? Ja od lat trzech z ordynacji naszego zacnego Doktora Dietla jeżdżę do Krynicy, i jestem tu jak w domu, wiem, znam doskonale... Gdybym w czem paniom usłużyć mogła?

Domska skłoniła się grzecznie.

— Wdzięcznie pani za jéj uprzejmość dziękuję— rzekła, ale my tak mało potrzebujemy.

To mówiąc, i jakby dając do zrozumienia, że dłużéj zatrzymywać jéj nie chce, gospodyni podsunęła papierek.. prezesowa była zmuszoną przyjąć go i nie mając już najmniejszego powodu pozostawania dłużéj, podniosła się z krzesła. Za nią powstał Porfiry, chrząkając napróżno, dla zwrócenia oczów panny Elwiry i tryumfalnie wyszli. W korytarzu pani Hercegowińska przekonała się, iż ofiara była wcale znaczną, ale mimo to kwaśna zeszła ze wschodów. Niezadowolenie spadło na młodzieńca, który dostał burę.

— Że też ty zawsze nic do rzeczy odezwać się musisz.

— Proszę cioci prezesowéj — w czem, nic do rzeczy?.. Przecież musiałem zagadać... myśleliby żem niemy, proszę cioci.

— A więc będą myśléć, żeś... — niedokończyła prezesowa i spojrzawszy nań surowo, poszła przodem.

— Czy ciocia może każe sobie towarzyszyć? spytał młodzian, pragnący zmienić jedynaka na skromniejsze ubranie.

— Idź sobie do domu.. Pocałowawszy w rękę, którą mu niechętnie podano, nieszczęśliwy młodzian, westchnął i poszedł pod Wielbłąda.

W tych dniach towarzystwo Krynickie niespodzianie pomnożyło się jeszcze o kilka osób. Najmilszą wszakże niespodzianką było przybycie pani hrabiny Emilji Palczewskiéj, o któréj wspomniał był już pan Porfiry. Krynica nigdy jéj się spodziewać nie mogła, była to bowiem jedna z tych pań słynnych z piękności i elegancji, które tylko wody nadreńskie zaszczycają obecnością swoją. Wdowa od lat kilku, dwudziesto kilkoletnia, bogata, piękna, dowcipna, ożywiona, nawykła do rozkazywania, rządzenia, a namiętnie potrzebująca rozrywki hałaśliwéj i coraz nowéj — pani Palczewska przynosiła to z sobą, to czego właśnie brakło dotąd — ruch, wesołość i życie. Wszyscy ją znali w Galicji, i ona też znała wszystkich.. kochali się w niéj, kto ją tylko zobaczył, ona się z nich najotwarciéj śmiała. Mówiła naprzód, że za mąż iść ani chce, ani myśli, a jeźli by miała tę niedorzeczność popełnić jeszcze raz w życiu, dobierze sobie tego, kto się jéj spodoba, do kogo się chyba namiętnie przywiązać potrafi. Wszystkie próby podobania się fantastycznéj pani, dotąd się zupełnie nie wiodły.. żartowała sobie, pozwoliła palić ofiary, składać hołdy i nie odpychała adoratorów, ale nie ośmieliła żadnego. Dwór był zawsze wielki, kto niechciał nawet iść za wozem tryumfatorki, zmuszała go, ale wszyscy starzy wielbiciele i nowo zaciężni, służyli tylko do zabawy. Pani Emilja potrzebowała się bawić. Dom był otwarty, na wielkiéj stopie, wytwornie utrzymywany, stół doskonały, gosposia wesoła, towarzystwo zawsze nastrojone na ton pani domu.. nikt się też od służby nie wymawiał. Dla przyzwoitości miała pani Palczewska przy sobie panienkę, sierotę, milczącą, skromną, cichą, nie zawadną, posłuszną, która zwykle siedziała w oknie z robotą, nalewała herbatę, smarowała chleb i nie mięszała się do rozmowy. Pomimo wesołości panującéj w domu, nieszczęśliwą dosyć wydawała się ta sierota, twarz nawet miała pochmurną i byłaby jéj może nie ścierpiała pani Emilja, gdyby cichość a powolność panny Salomei nie nadawała jéj ceny. Równie potulnéj ofiary trudno było wyszukać. Wspaniały kamerdyner, siwy, poważny mężczyzna, który od rana chodził we fraku, dwie garderobiane, kilku lokajów, składali resztę dworu hrabiny. W Krynicy zajmowała domek osobny cały, i ten zaledwie jéj wystarczał.. Przybywszy, natychmiast posłała po listę gości, kazała pannie Salomei spisać znajomych i ich adresa, znalazła Krynicę, do któréj zawitała po raz pierwszy, bardzo parafjańską zi ewnęła parę razy, wyjrzała oknem i zawołała:

— A! przeklęci prusacy! Niepodobna było jechać pod wojnę.. i niepodobna było siedzieć w domu, a tu... tu, dopiero się znudzimy!

W pół godziny przyleciał, dowiedziawszy się o hrabinie, pan Stanisław Greifer, w trzy kwandranse Żelazowski. Obu im niezmiernie rada była, prosiła tegoż dnia na herbatę, kazała sobie kronikę miejscową opowiadać, zapowiedziała im, że pod karą gniewu powinni ją starać się bawić, bo inaczéj umrze.. napapłała i naśmiała się.. rozdysponowała jednak swym zwyczajem wszystko jak najporządniéj i wypędziła gości postanowiwszy się ubierać jak tylko panna Salomea oznajmi, że tłomoki rozpakowane.

Greifer i hr. Żelazowski wyszli uszczęśliwieni.

— Teraz to się Krynica ożywi! rzekł pierwszy. Bo nie znam kobiety na świecie, któraby lepiéj rozruszać umiała. Zdaje się, że umarłego by z grobu wyciągnęła, gdyby wiedziała, że ją zmartwychwstanie zabawi.

— Kobieta co się zowie! odparł Żelazowski, — tylko to bieda, że ot tak młode lata trwoni, a pociechy z niéj nikomu nie ma.. Człowiek uczciwy ożeniłby się i byłby szczęśliwy.

— No, ożenił się — to pewna, ożeniłby się każdy, kogo by zażądała — rzekł Greifer — ale czy by był szczęśliwy to pytanie. To *hic mulier*...

— Piękna, rozumna i bogata! Czegóż ty jeszcze chcesz? spytał hrabia.

— Nic, tylko żeby była dobrą.

— Złą nie jest przecież.

— To pewna, ale dobra.. tylko dla siebie, a to jéj odejmuje cały wdzięk kobiecy.. wkracza w atrybucje mężczyzny, jest egoistką.

— Jaki ty jesteś dowcipny, dalipan! rozśmiał się hrabia — pierwszy raz gdy źrebięciu trzeba będzie dać nazwisko, będę się ciebie radził.

Greifer ruszył ramionami. — Wiem, że może tego jednego nie potrafię. To wasza rzecz.. Źrebię musi się nazywać po angielsku, — a ja oprócz *Goddam* nic nie umiem.

Rozeszli się w swe strony panowie i po Krynicy gruchnęła zaraz wieść o przybyciu hrabiny Palczewskiéj. Był to ważny wypadek. Ona jedna, z tych wszystkich co tu przybyli dotąd mogła przyjmować, nie potrzebowała się oszczędzać i niosła z sobą zamiast choroby — wesele. Następujący piknik obiecywał być bardzo świetnym, ale zarazem młodzież z przybyciem królowéj dostrzegła, iż dla niéj wszystkiego tego co przygotowano dotąd, było za mało. Hrabina była przywykłą do czegoś lepszego, wytworniejszego, a nie rozumiała, co to jest niemożliwość. Jéj zdawało się zawsze, iż czego ona chciała, co jéj było miłe i potrzebne, to bądź co bądź, musiało jakimkolwiek kosztem stawić się na zawołanie. Mężczyznom szczególniéj nie przebaczała, nawet tego wyrazu — niemożliwe.

— Gdybym ja była mężczyzną, mówiła — wykreśliłabym 'go z mojego słownika.. Nierozumiem niepodobieństwa.. Wola powinna wszystko zwyciężyć.

W godzinę wiedziała już nietylko o pikniku, ale o sali, w któréj się miał odbywać, i o niegodziwéj w niéj posadzce. Zawyrokowała zaraz — Zła? to ją odmienić! — Tu w Krynicy? — No, to ją sprowadzić — Ale zkąd? — Zkąd? choćby i z Wiednia z Pesztu, z Paryża, a mnie co do tego?

Taką była we wszystkiem.. pani Emilja.

Przyjazd jéj poruszył, ożywił, zakłopotał panów i panie, czuli wszyscy jakby przybycie królowéj, przed którą stanąć należało do popisu. Miała hr. Palczewska ten szczególny dar i niesłychaną pamięć, iż ją najmniejsza rzecz i najdrobniejszy człowieczek obchodził, o wszystkiem i wszystkich wiedzieć musiała, [zobaczyć zbliżyć się. Ktokolwiek z nią sam nie zrobił znajomości, tego zmusiła do zapoznania się, idąc śmiało pierwsza przeciw niemu.

Wieczorem już nietylko Greifer i hr. Żelazowski, ale wszyscy niemal wydatniejsi panowie, znaleźli się na herbacie. Dom był jeszcze nie urządzony, sprzęty kuchenne zaledwie rozpakowane, lecz że kuchnia i furgon przybyły dniem wprzódy, herbata znalazła się podana wykwintnie i ze wszystkiemi specjalikami, jakich tylko Krynica dostarczyć mogła. W prawdzie w saloniku firanek jeszcze nie było, bo te, które zastała, znalazłszy obrzydliwemi, kazała natychmiast zrzucić, woląc żadne niż brzydkie a nowych jeszcze nie sprowadzono, lecz mimo to wesoło było, szumno, ochoczo i jak zwykle wrzawliwie. Oprócz mężczyzn, przybyła baronowa Ormowska, dawna, dobra i serdeczna znajoma, można powiedzieć przyjaciółka hrabiny. Zbliżyły je temperamenta potrzeba rozrywki i wesołości jednakowa. Różnicę tylko stanowiło, iż hr. Palczewska była czasem złośliwą i gdy bardzo jéj brakło zajęcia, gotowa była bawić się cudzym kosztem, i choćby miała usnuć intrygę, lecz gdyby ta, uchowaj Boże, na krzywdę czyjąś wyjść miała, wolała wówczas sobie poświęcić, niż narazić niewinnych.. Lucia i Musia, baronowa, hrabina śmiały się już i trzepiotały od godziny, gdy goście schodzić się zaczęli.

Przyszedł i Surwiński, którego natychmiast pochwyciła gospodyni.

— A to dobrze, że pan tu jesteś! Mianuję pana moim ministrem policji i plotek. Mów mi pan zaraz kto jest — co robią... i jeśli co tajemniczego już złapałeś... podawaj na stół gorąco...

Pan Karol mimo uśmieszku stał się poważnym:

— Niech no się pani hrabina rozpatrzy...

— Słyszałam, żeś pan tu odkrył jakąś znakomitość incognito... Proszę mi ją co najprędzéj pokazać, zaprezentować, a jak ja wezmę na konfesatę, dobędę z niego... no zobaczysz...

— Ani wątpię, że przed takim spowiednikiem, do wszystkich przyzna się grzechów... Zobaczy go pani... chociaż — dziczek.

— Jakto, dziczek?

— Stroni, szczególniéj od kobiet... nie bywa nigdzie, nie zaznajamia się i oprócz pani Domskiéj...

— Jakiéj pani Domskiéj? — podchwyciła hrabina — co to jest pani Domska?

— Jakaś jéjmość z córką z Berlina... zapewne z Wielkopolski — przemówiła baronowa. — Matka chora, córka choć młoda i ładna, unikają widocznie ludzi...

— Jakże to wygląda? — zapytała hrabina.

— A, bardzo przyzwoicie — rzekła Ormowska — znać osoby majętne... no, i dobrze wychowane, ale nie wszyscy są do ludzi i towarzystwa stworzeni.

— O, moja baronowo — zaprotestowała gospodyni — proszę tego nie mówić! A do czegoż ludzie stworzeni? Sami żyć nie potrafią — z aniołami nie każdemu wolno, djabły już po ziemi nie wędrują... Wszyscy powinni żyć w towarzystwie i udzielać się mu. To darmo! O, to darmo! Ale — zwróciła się do pana Karola — cóż tedy ów tajemniczy wasz wielki człowiek? Co to może być?

— Jestem na drodze... to się odkryje — szepnął Karol.

— Ależ przecie się jakoś nazywa?

— Niby to ma nazwisko... ale on do niego, a ono do tego, co je nosi niepodobne. Dość spojrzeć na niego a można być pewnym, iż to nie może być żaden pan Piławski.

— Piławski, i powiadasz zkąd? z Warszawy? Ale bo pozwól panie Surwiński, powiedzieć sobie — ja bym na waszem miejscu dawno do Warszawy napisała i miała już wiadomość o nim. Każdy ma znajomych, cóż łatwiejszego.

— Ja to już zrobiłem — rzekł cicho Karol — mam właśnie towarzysza szkolnego i wojskowego w jednym biurze, człeka, co doskonale zna towarzystwo całe, da mi wiedzieć. Proszę pani hrabiny, wygląda jak Antinous, twarz arystokratyczna — wychowany jak udzielny książę, mówi wszystkiemi językami... spędził część życia w Anglji, — rysuje, muzyk, literat... widać po nim, że bogaty — możeż to być taki jakiś nieznany Piławski.

— A no, może — odparła gospodyni — ty, kochany panie Surwiński, znasz świat jakim był przed laty trzydziestu... Dziś ludzie, okoliczności, wynalazki i rożne innowacje, do góry nogami go przewróciły. Naprzód, proszę cię, tyle bogatych żydów się ochrzciło... a to są ludzie i majętni i wychowani jak lordowie... no — i arystokracja przecież... Genealogiczne ich drzewo starsze pono od wszystkich naszych. Powtóre, teraz maleńcy ludzie robią majątki jak na drożdżach... a do majątku dzieciom dają wychowanie...

— Wszystko to prawda — odezwał się Surwiński — ja może jestem stary i uparty, ale mnie się widzi, że zawsze rasa rasą. Nie mówię o żydach, bo w tych też rasa widoczna, ale i owi dorobkowicze, proszę pani, dorobili się wielu rzeczy, nawet dowcipu i wychowania, a nóg i rąk muszą czekać do czwartego pokolenia.

Hrabina się roześmiała.

Nie masz słuszności, bo ja bym ci po wsiach pokazała takie rączki i nóżki wypukłe...

— Po wsiach... potrząsł głową p. Karol — proszę pani... ale tego jakoś mi mówić nie wypada..

— Ja się domyślę — dokończyła pani Palczewska — daj już pokój, nie ma istoty upartszéj nad doktrynera i teoretyka...

Pan Karol zamilkł. Goście się też schodzić zaczęli. Piękna gosposia zabawiała ich, witała, śmiała się, a że Piławski był na stole zagadywała niemal każdego o tego nieznajomego. Ruszali ramionami, nikt tak dalece nic odpowiedzieć nie umiał.

— No, — a ja do trzeciego dnia — zawołała — poznam, wyspowiadam i co chcę wiedzieć będę. Wy bo nic nie umiecie, i niczego nie jesteście ciekawi, a wiedzcie panowie, że kto nie umie być ciekawym ten szczęśliwym być nie może. Ciekawość jest pierwszym stopniem do szczęścia, nie do piekła... Kto nie ciekawy, żyć nie wart...

Rozmowa ożywiona wielce ciągnęła się wieczór cały... Gdy nareszcie goście rozchodzić się zaczęli; a hrabina poszła się rozbierać znużona, aby co prędzéj paść na łóżko, wiedziała już o Krynicy więcéj, niż ci co w niéj byli od paru tygodni...

Nazajutrz w bardzo milutkim i świeżym stroju porannym, z nieodstępną swą milczącą towarzyszką panną Salomeą, hrabina wyszła do zdroju. Ranek był, jakby naumyślnie dla niéj, piękny, ciepły, jasny, rezeda przed oknami doktora Zieleniewskiego rozlewała woń orzeźwiającą, muzyka grała drzemiąc jakąś skoczną polkę, w kaplicy dzwonek się odzywał na pierwszą mszę poranną — ze słońcem wracało na twarze jeśli nie wesele (bo wypadki wojenne zasępiały czoła), to przynajmniéj jakaś do życia ochota. Wszyscy w wielkim komplecie stawili się wcześnie, jedni aby hrabinę zobaczyć zdaleka, drudzy aby się zbliżyć do niéj i przemówić. Otoczona ciągle trochę naprzykrzonym dworem, który się wprawdzie przemieniał, pani Palczewska nie zdawała się ani zmordowaną, ani zniecierpliwioną. Żywe jéj oczki szukały w przechodzących nieznajomych twarzy i postaci, ażeby się zaraz o nie dowiedzieć i zapamiętać. Pamięć miała tak szczęśliwą, że raz widzianą twarz wraz z nazwiskiem, wszystkiem co do niéj należało, choćby w lat kilka przypomniała, jakby ją dopiero wczoraj pierwszy raz zobaczyła. *Die minores* nie bardzo ją obchodzili, ale co tylko z pozoru zdawało się należeć do lepszego towarzystwa, to wszystko znać i przyciągnąć do siebie musiała. Tego dnia jako Cicerone funkcjonował przy niéj pan Grejfer i nieodstępnie szedł za nią. Odwracała się do niego ilekroć potrzebowała informacji. Dwa razy już niecierpliwie trochę spytała o nieznajomego, który się dotąd nie ukazywał, gdy pan Karol przystąpił i oznajmił, że korzystając z pięknego poranku, ów pan Piławski wybrał się na chłopskim wózku do Żegestowa, dla zwiedzenia okolicy słynącéj ze swéj piękności... Namarszczyła brwi, tupiąc nóżką pani Palczewska zagryzła usta, nie odpowiedziała nic, ruszyła ramionami i szła daléj. Jakby chcąc wynagrodzić ten zawód, p. Surwiński ukazał zdala przesuwającą się panią Domską z córką. Obie szły odosobnione, ubrane bardzo skromnie, ale z takim smakiem i świeżością, iż strój ich zaciekawił hrabinę, która manewrowała, aby się przybliżyć i lepiéj tym paniom przypatrzeć. Egzamen ten dozwolił jéj poufnie zawyrokować, iż panie należały do dobrego towarzystwa niezawodnie. Pozazdrościła nawet Elwirze zarzutki fantastycznéj i z wielkim smakiem przybranéj. Parę razy zachodziła im drogę, aby Elwirze się przypatrzeć — i przyznała że jest piękną. Ranek ten zresztą zszedł na rozprawach o przyszłym pikniku i na roztrząsaniu nowin z placu wojny, które się przesadzonemi i nieprawdopodobnemi wydawały. Hrabina, odbywszy przechadzkę po pagórkach, zmęczona, zawiedziona powróciła na śniadanie do domu z panną Salomeą. Nie taiła się przed nikim, iż Krynica wydawała się jéj straszliwie *primitive*.

— Wiem, że mi to za złe mieć będziecie, iż swoje wody mi nie smakują — zawołała śmiejąc się do Ormowskiéj, którą spotkała prawie w progu i zabierała z sobą — ale ja, wyjeżdżając się rozerwać, chcę się zabawić, a nie zmęczyć, tu ani wygód, ani zabaw, dziko, pusto... smutno i... ale milczę.

Zaledwie zasiadły do śniadania, hrabina która miała parę koni własnych, odezwała się, ja gdybym kazała zaprządz i, żebyśmy pojechały na obejrzenie okolicy, naprzykład — do Żegestowa.

— A, proszę pani — zaśmiała się Lucia — czy pani myśli jechać powozem rosłemi końmi — do Żegestowa.

— Albo co? — odezwała się hrabina.

— Nic, tylko, że drogi nie ma — odparła Ormowska — jedzie się drożynami, ścieżkami, po nad urwiskami, po kamieniach, przez potoki, tak, że często i wozem przerznąć się trudno... koczem ani myśléć...

— A! a! łamiąc ręce zawołała hrabina. — A przecież ludzie się tam dostają.

— Tak, ludzie, co się niczego nie boją i żadnych nie potrzebują wygódek — my zaś, nieszczęśliwie popsute istoty... musimy pilnować szosy i wielkich gościńców. Szkoda, bo mówią, że Żegestów bardzo ładny... i zwiedziłybyśmy kawałeczek Węgier... bo to nad samą granicą, a wracać można przez madziarskie kraje.

— Ja zawsze mówię, że kobietą być najnudniejsza rzecz w świecie — westchnęła hrabina — moja baronowo — dodała — co wy tu z dniem robicie? Wstajecie tak rano, dzień bez końca! A w Krynicy po deptaku się kręcić od rana do wieczora nie zabawnie, chcieć nawet plotkami żyć, to się we dwadzieścia cztery godzin wyczerpią.. Nauczcież mnie jak sobie dajecie rady?

— Zgadzamy się z położeniem — poczęła baronowa, — ja naprzód mam jeden wielki resurs, którego ty nie masz. Mam nawet, szczerze powiedziawszy, dwa: naprzód w słotę godzinami kładę pasianse...

— *Horreur!* — przerwała wtrącając się Palczewska.

— Powtóre gderzę na Lucię lub Musię naprzemiany..

— Gdybym gderać zaczęła — odezwała się hrabina, mając jedną Salomeę i tak dosyć kwaśną, *entre nous soit dit*, zamęczyłabym ją prędko.. Ale powracam do zadania, jak dniem rozporządzacie?

— Ja jestem tego przekonania, że jak najmniéj planów robić należy — roześmiała się stara baronowa, jest i bez tego dosyć niewoli w życiu, ażeby jéj sobie jeszcze samemu przyczyniać. Wstajemy rano, pijemy wodę, chodzim, jemy obiad, chodzimy znowu, ziewamy... pijemy herbatę. Jeśli jest co, to mi Lucia i Musia czytają, a potem — spać, doktór się każe kłaść wcześnie.

— To jest rzecz okropna — dodała hrabina — iść razem z kurami do snu — parafjańtwo i nudziarstwo... Ja zaczynam żyć wieczorem.

— Ale u wód?

— Któż inaczéj pije wody jak dla zabawy? A potem — zawołała hrabina — woda krajowa, galicyjska, *cela n'est pas sérieux*.. Smak wprawdzie ma atra-

mentowy, ale pewna jestem, że doktór Zieleniewski kałamarze w niéj płucze.

Śmieli się wszyscy, przeszło tak śniadanie, hrabina poszła się ubrać, a nad wieczór z Ormowską umówiły się iść na przechadzkę, gdzie tylko było można.. choćby w lasy i po najsroższych, najeżonych kamieniach.. baronowa choć jéj było ciężko w wesołem towarzystwie wszystko znieść była gotową.. Dzień tak pięknie dopisał, iż do wieczora chmurki na niebie nie postrzeżono, wybrały się więc pod wieczór przez wieś na drogę ku Muszynie: Ormowska, hrabina, panna Salomea, Lucia i Musia, a w straży bezpieczeństwa Grejfer, który nie mając co robić, myślał się zakochać w hrabinie i hr. Żelazowski. Pan Karol, któremu nie dano znać pracował w Krynicy saméj nad nowemi, jakiemiś odkryciami.

Na drodze ku Muszynie i Żegestowa przechadzka dosyć jest smutna z razu, droga niewygodna, a niedaleko od wsi strumień zagradza pieszym dalszą wycieczkę, nie zawsze wprawdzie wezbrany, na teraz jednak po deszczach groźny.. Panie szły powoli hrabina co chwila szeptała: jeżeli też to ładne jeżeli to ładne! Już miano zawracać, gdy chłopski wózek od strony Żegestowa się ukazał. Na nim z cygarem w ustach, w podróżnym stroju bardzo i nadto podobno eleganckim, siedział pan Pilawski. Jak na bohatera romansu, który po raz pierwszy zjawia się oczom ciekawéj kobiety, przedstawiał się wcale niekorzystnie, bo i ubiór i on od pyłu ucierpieli, i na wózku nie wygodnym uczepiony nie wydawał się malowniczo.. Hrabina jak tylko jéj podszepnięto, a raczéj gdy się domyśliła, że to jest ów nieznajomy, żywo zawołała do Grejferta. Rozkazuję panu, zaczep go, ściągnij i zrób tak, ażeby poszedł z nami. Każę proszę niech słucham wymówki!

Grejfer parę kroków naprzód pospieszył. Właśnie Pilawski się wpatrywał w idące panie, gdy pan Stanisław wyprzedziwszy je, bez namysłu do wozu przystąpił. Widział parę razy i mówił z Pilawskim, nie ryzykował więc wiele zaczepiając go. A potem u wód!

— Dobry wieczór panu słyszeliśmy, żeś jeździł i wracasz z Żegestowa?

— Tak jest, odezwał się Gabriel.

— A! zmiłujże się pan, bądź tak grzecznym, zsiądź i powiedz tym paniom jak zła jest droga, bo mnie wierzyć nie chcą, i hrabina gotowa się wybrać koczem, gdzie wóz ledwie się przeciśnie.

Nie drożąc się z sobą pan Gabriel zeskoczył z wozu, zapłacił woźnicę i odprawił, a sam otrzepując się nieco z pyłu, gotował się iść na rozkaz Grejfera ku tym paniom.

Hrabina tym czasem jak wojak na nieprzyjaciela z którym ma walczyć, otworzyła oczy ciekawe, badając każdy ruch nieznajomego. Od razu powiedziała sobie: *Il est des nôtres*. — Twarz z resztą wydała jéj się bardzo sympatyczną i nim się zbliżył, szepnęła baronowéj Ormowskiéj do ucha: Bardzo ładny chłopiec.. Stara baronowa nieznacznie lornetowała go już także z ciekawością wielką, uśmiechnięta i odparła: *Très comme il faut* i bardzo wdzięczna twarz..

Grejfer już go prowadził. Szczęściem dla mnie, odezwał się — nadarza się nam właśnie pan Pilawski, którego mam honor paniom zaprezentować. Wraca z Żegestowa i świeżą jeszcze mając pamięć podróży, poświadczy do jakiego stopnia ona jest niewygodną, powozem niemożliwą, a dla pań męczącą..

Pilawski kłaniał się i dodał zaraz: Mogę najzupełniéj potwierdzić określenie pańskie i radzić przynajmniéj, kto chce Żegestów zwiedzić, wybrać się na cały dzień, wózkami tutejszemi.. Część drogi przejść piechotą, jechać powoli — kraj jest piękny, okolica wielce malownicza, sam Żegestów ze swym parowem, z przechadzką ze źródłem, bardzo oryginalny.. lecz dla pań...

— Dla nas, podchwyciła żywo hrabina, patrząc w oczy Gabrielowi, jakby go od razu podbić chciała, dla nas powinieneś pan wiedzieć niebezpieczeństwo jest zachętą, trudności do przebycia pociągającemi.. a kto skazany został na Krynicę kilkudniową, i co dzień na Jaworzynę jeździć nie może, musi przecież szukać rozrywki...

— Zgadzam się na te prawdy, śmiejąc się rzekł Gabriel, ani radzę ani odradzam, jestem prostym powołanym świadkiem i przynoszę zeznanie jak do sądu przysięgłych.

Hrabina popatrzyła nań z widoczną obawą, ażeby się rozmowa nie zerwała zbyt prędko.

— To nie dosyć — poczęła zaraz — czekaj pan, sąd ma prawo badać świadków.

— Słucham zatem..

— Jadąc powoli, idąc potroszę, bałamucąc po drodze, zabawiwszy nieco w Żegestowie, możemyż powrócić tego samego dnia do Krynicy?

— W najgorszym razie, choćby się nieco opóźniło byle pogoda, mamy księżyc.. więc...

— Czekaj pan jeszcze — dodała hrabina — niemam przyjemności znać pana, jestem zmuszona wśród drogi sama mu się zaprezentować.. i z góry zapowiedzieć, że jestem despotyczną i samowolną, potem już go nie zdziwi, że pierwszy raz widząc pana, z prawa jakie kobietom służy, szczególniéj na takiéj pustyni, zamawiam sobie, żebyś w przypadku wycieczki do Żegestowa, jako doświadczeńszy od tych panów, służył nam za przewodnika..

Pilawski popatrzał, roześmiał się dziwnie smutno i rzekł:

— Spełnię ten rozkaz bardzo chętnie, lecz, że przybory do drogi wymagać będą może czasu, radbym wiedzieć wcześniéj dzień.

— Przybory! przybory do pana należeć nie będą, te hr. Żelazowski i p. Greifer muszą ułatwić, zamówić urządzić.

— Lękam się tylko, abym położonéj we mnie ufności nie zawiódł — rzekł Gabriel, pani dałaś mi przykład szczerości, zowiąc się despotyczną, pójdę za nim i przyznam się, że bywam roztargnionym.

— To nic nie szkodzi — zawołała hr. Palczewska — to bywa zabawnem, a pod te ciężkie wojenne czasy wszelka niewinna nawet trochę winna rozrywka pożądaną.

Grejfer, który chciał być dowcipny tanim kosztem, wrzucił: o winną rozrywkę najłatwiéj, bo jesteśmy na granicy Węgier i państwa Tokaju.

— A! kalambur! zapłacisz waćpan sztrof drugi raz, śmiejąc się odparła hrabina, która rozmowę całą zachowała dla siebie. Żelazowski naiwnie śmiał się z dwuznacznika, dziwiąc się jak ten Grejfer był zawsze dowcipny, baronowa Ormowska przypatrywała się Pilawskiemu bardzo i szczerze powiedziawszy panny, choć udawały, że nań niby nie zwracają uwagi, ciągle weń miały wlepione oczy. Cała strategja hrabiny wymierzona była na to, ażeby znaleść jakąś drogę taką, żeby nieznacznie zasekwestrowanego Pilawskiego pociągnąć do drzwi swego domu a tam go gwałtem wziąść na herbatę. Tajemny ten projekt trudny był do wykonania, gdyż droga wiodła około hotelu w którym stał pan Gabriel i z góry można było przewidzieć, że te panie pożegna.. Chcąc spiskować z Grejferem o wynalezienie ścieżki po za wsią przez lasek nad Krynicą, trzeba było rozmowę rzucić.. co było niebezpiecznem. Hrabina zręcznie schyliła się do baronowéj i szepnęła: Zabaw go pani chwilę rozmową aby nie uciekł, ja mam słówko do Grejfera.. Posłuszna Ormowska, słodkim swym głosem odezwała się:

— Pan dobrodziéj z Królestwa?

— Z Warszawy..

— Nie zna pani tam moich krewnych, P....

— Znam z daleka, pani dobrodziejko — rzekł Pilawski, w towarzystwach bywam bardzo mało. Jestem młody, mam zajęcia, pracuję.

Ormowska miała już na ustach zapytać o rodzaj pracy, lecz zmiarkowała, żeby to było niedyskrecją, podniosła oczy popatrzała nań jak się panu kraj nasz podoba? dodała, zmieniając rozmowę.

— Bardzo piękny śliczny.. żywo odpowiedział Gabriel, lecz ja nawykłem od wielu lat zwiedzać to Anglję, to Belgję, to Niemcy i przyznam się pani, że widok tych stron zasmuca mnie! Jakiż to bogaty materjał leży tu odłogiem.? Dla czego nie ma dróg, przemysłu, handlu zamiast chatek drewnianych, murowanych wiosek, zamiast nędzy-dobrobytu i oświaty..

— Bo razem wszystko i raptem przyjść nie może — szepnęła Ormowska, — ale i to przyjdzie..

— Niestety! jak późno!

W téj chwili hrabina wydawszy rozkazy powracała już i wcisnęła się do rozmowy, bo po naradzie z Żelazowskim i Grejferem stanęło, że poprobują jakiejś ścieżki gór, i już się nią idący przodem kierować zaczynali Palczewska wtrąciła:

— O czem państwo mówicie? Ormowska rozpoczęła objaśnienie, gdy na krzyżującéj się drodze Pilawski stanął i ujął za kapelusz, aby pożegnać.

— Co to jest? zapytała wesoło hrabina, pan chcesz nam uciekać? Przepraszam, kładę sekwestr. U wód swoboda wielka, proszę do mnie na herbatę, ja się nudzę, rekwiruję pana i nie puszczam...

— Jestem tak po podróżnemu.

— Myśmy podróżni wszyscy, herbata będzie też podróżna. Gabriel skłonił się i nie opierał, w istocie takiéj uprzejmości obronić się było trudno i nieprzyzwoicie nawet tak się z sobą drożyć.

Ponieważ drożyna nie zbyt była wygodną, a cel, dla którego obraną została, dopięty, Grejfer zręcznie dosyć znalazł pretekst do zawrócenia ulicą. Hrabina śmiała się, bawiła, dowcipkowała i widocznie kokietowała, zimnego jak Anglik młodzieńca, który uśmiechał się wprawdzie, odpowiadał zręcznie, ale ani ożywił, ani po młodzieńczemu nie okazał tego ognia, który zwykle oczy hrabiny zapalały.

W największym rozmowy gwarze, przechodzili właśnie około hotelu pod Różą. W oknie siedziała panna Elwira Domska, Pilawski się jéj ukłonił, ona żywo cofnęła się zaraz.

— Znasz pan te panie?

— Z widzenia i z podróży tylko, któréj część odbywałem razem koleją, rzekł Pilawski.

— Panna bardzo ładna? dodała, wpatrując się w niego badawczo, hrabina.

— Bardzo ładna! skłaniając głowę, ale bez żadnego wzruszenia widocznego powtórzył Pilawski.

— Kto są te panie?

— Doprawdy nie wiem więcéj nad to, co tu wiemy wszyscy — są z Berlina.

(d. c. n.)

WSPOMNIENIA
Z PODRÓŻY PO WŁOSZECH

PRZEZ

Aleksandra Dumasa (ojca).

(Dalszy ciąg.)

Helena wkrótce skorzystała z pozwolenia. Oddawna kręcił się około niéj baron niemiecki T., sekretarz ambasady cesarza austryackiego w Neapolu, młody, przystojny i bogaty człowiek. Zaraz po uznaniu małżeństwa za niebyłe, baron zajął miejsce pierwszego męża. Książe L. nic nie miał na teraz do nadmienienia przeciw drugiemu księciu. Ślub i wesele odbyło się bez wystawy, na wsi, w przytomności tylko kilku osób. Po ślubie książe L. przemówił do nowożeńców i chciał ich pobłogosławić, ale młoda baronowa stanowczo sprzeciwiła się temu i co prędzéj uprowadziła męża do sypialnego pokoju, gdzie zaraz zrobiła rogi z obu rąk i dzbarykadowała, żeby zażegnać czary.

W tydzień potem pani baronowa odwiedziła swoich rodziców. Na twarzy jéj wybijała się radość i szczęście, bo jak powiadała, mąż jéj był dobry, uprzejmy a nadewszystko gorąco ją kochał. W rok potem urodziła zdrowego chłopaczka, który był radością i pociechą starego księcia L. i staréj księżnéj.

Upłynęło piętnaście miesięcy. Dziecko chowało się ślicznie, znało już wszystkich, a najbardziéj dziadunia, który szalenie kochał i pieścił wnuczka. Żeby się z nim nie rozstawać, chciał nie przyjąć poselstwa do Paryża, dokąd król neapolitański chciał go wyprawić z powinszowaniem Karolowi X. zdobycia Algieru. Przyjaciele jednak odwiedli go od tego zamiaru, przyjął więc ambasadę, a po przyjeździe do Paryża, we dwa dni zaraz miał uroczyste posłuchanie u króla. Nazajutrz po téj audiencji wybuchła rewolucja lipcowa, a w ośm dni potem, był już inny monarcha na tronie francuzkim. Książe L. wracając do ojczyzny, jechał lądem, wstąpił do Rzymu, miał posłuchanie u papieża Piusa VIII, ucałował jego nogi, a w trzy dni potem papież umarł.

Nie domyślając się wcale, jak wielkie nieszczęście ciągnął za sobą, jechał dzień i noc, żeby jak najprędzéj zobaczyć swoją rodzinę, która uprzedzona przez kurjera, że książe tuż za nim pędzi zebrała się na balkonie. Piastunka z malcem przyszła także. Dziadek i wnuczek poznali się zdaleka. Chłopak żywy, nagle wyciągnął rączyny do dziadka, wyśliznął się z rąk piastunki, upadł na bruk i roztrzaskał sobie głowę.

Rodzice o mało nie umarli z żalu, książe L. przez sześć miesięcy był zupełnie nieprzytomny; włosy mu zupełnie wypadły, musiał włożyć perukę i tym sposobem potroił siłę swéj gettatury: okulary, tabaka i peruka! Takim poznałem go w Neapolu. Na szczęście nie byłem uprzedzony, zrobiłem mu rogi z ręki i nic mi się złego nie stało, chociaż przez pół godziny z nim rozmawiałem. Prawda że nazajutrz zostałem aresztowany, bo też podróżowałem po Neapolu za cudzym paszportem.

Kiedym wyjeżdżał, tego samego dnia Książe L. mianowany został prezesem komitetu zdrowia królestwa obojga Sycylji. W ośm dni potem wybuchła w Neapolu cholera. Książe żyje jeszcze; ma już 85 lat, rzadko wychodzi i mało już o nim słychać.

XIII.

Wał nadmorski.

Bulwar czyli wał nadbrzeżny, jest ulubionym miejscem przechadzki dla klasy średniéj. Lazzaroni tutaj mieszkają, dla tego też bulwar ten jest uprzywilejowanem miejscem do popisu dla poliszynela.

Nie wspomnieliśmy jeszcze nic o poliszynelu, a jednak jest on bardzo ważną osobą w Neapolu. Cała opozycja neapolitańska koncentruje się w poliszynelu — on jeden ma odwagę mówić to, czego nikt nie śmie powiedzieć.

Poliszynel np. powiada, że Neapolem rządzi trzy *F*. Tak samo myślał i król Nasone, a miał niemniéj dowcipu i niemniéj był popularnym jak poliszynel. Owe trzy F są: *festa, farina, forca*: zabawy, mąka i szubienica. Na dwa tysiące lat przed poliszynelem Cezar znał już pierwsze dwa sposoby: *panem* et *circensus*: chleba i igrzysk; trzeci sposób wynalazł Tyberyusz.

Nie było zresztą nic dziwnego, żeby poliszynel widział na własne oczy te trzy F. około Narodzenia Chrystusa, bo sięga on dalekiéj starożytności. Fresk w Pompei, zapewne z czasów Augusta, wystawia nam jego rysy w zupełności, a nad niemi czytamy napis: *Civis attelanus* — obywatel attelański; a zatem poliszynel był bohaterem Attelanów. Niechże szlachta europejska chełpi się teraz swojem pochodzeniem z X lub XII wieku; młodsi są od poliszynela o 1000 lat. Poliszynel może wyliczyć kilkadziesiąt stopni rodowych i ma dziesięć razy więcéj prawa do jechania w karecie królewskiéj, niż najstarszy margrabia.

Kiedym pierwszy raz ujrzał Poliszynela, to podejmował się wyżywić Neapol, przez cały rok jednym korcem mąki, ale pod jednym warunkiem. Na całym bulwarze zrobiło się cicho jakby makiem zasiał: każdy myślał, co to za warunek być może i każdy chciał go słyszeć. Upłynęło kilka minut —publiczność zaczęła się niecierpliwić i domagała się warunku. Poliszynel stał poważnie z założonemi rękami.

— Oto! — odezwał się w końcu—wydalcie z Neapolu wszystkie żony, które zwodzą mężów i mężów zwiedzionych, wyprawcie wszystkich próżniaków, złodziei, a podejmę się wyżywić Neapol przez cały rok jednym korcem mąki.

Taki sposób mówienia prawdy jest może za brutalski — ale Poliszynel nie jest salonowcem, jest to prostak jak go Bóg stworzył i nie trzeba go porównywać z francuzkim błaznem, którego djabli porywają, ani z angielskim klownem, którego kat wiesza. Włoski Poliszynel umiera sobie spokojnie w łóżku, albo raczéj nie umiera wcale. Jest to zawsze ten sam poliszynel, ten sam kostium, spodnie i spencerek z białego perkalu, rękawy długie, kreza na szyi, spiczasty kapelusz na głowie i pół maski na twarzy. Francuzki Poliszynel jest istotą fantastyczną z dwoma garbami, kłótnik, rozpustnik, niedowiarek, bije żonę, a zabija komisarza. Włoski poliszynel jest dobre człeczysko, głupi ale złośliwy, jak to mówią o chłopach.

Obok Poliszynela, jako jego satelity krążą zawsze Improwizator i Pisarz publiczny.

Improwizator jest zwykle wysokiego wzrostu, chudy, ubrany czarno, ale suknie jego zwykle wytarte, świecące, odznaczają się najwięcéj tem, że nie ma u nich wcale guzików. Kapelusz zwykle pognieciony przekonywa, że często miał stosunki z publicznością. Nosi zwykle okulary, bo wcześnie wzrok mu słabnie od częstego czytania. Nie ma żadnego nazwiska, nazywa się *Improwizator*.

Improwizator jest akuratny jak zegar. Co dzień, na godzinę przed zachodem słońca, zobaczycie go jak wychodzi z rogu ulicy Chateau-Neuf i krokiem mierzonym idzie po bulwarze, trzymając w ręku starą książkę z podartemi okładkami a dobrze zatłuszczonemi kartkami. Jest to *Orlando Furioso* boskiego Ariosta.

We Włoszech wszystko jest boskie: boski Dante, boski Petrarka, boski Ariost, boski Tass.

Improwizator ma najwięcéj zawsze powodzenia. Niech lud robi co chce, niech słucha facecji Poliszynela, lub płacze z rozczulenia przy jakiem kazaniu, wszystko zaraz porzuci, żeby słuchać Improwizatora.

Improwizator jak owi wielcy wodzowie w starożytności i w nowszych czasach, co to znali z nazwiska swoich żołnierzy, zna po szczególe każdego ze swoich słuchaczów. Jeżeli mu kiedy braknie któ-rego, to go szuka oczami, a jeżeli to jest jeden z jego *appasionati* czeka na niego, lub mu powtarza z początku swoją improwizację.

Improwizator przypomina nam owych mówców Rzymskich, za którymi zawsze szły tłumy. Zaczyna zwykle zimno, cicho i pomału. W miarę akcji ożywia się, zapala, grozi, wyzywa, naśladuje głos i ruchy bohaterów, książka służy mu za tarczę, bo tak doskonale umie Orlanda na pamięć, że nie potrzebuje do tekstu zaglądać, a nawet umie go przedłużyć lub skrócić podług upodobania. Wtedy to trzeba widzieć Improwizatora!

Staje się naraz aktorem, czy to przedstawia Orlanda, czy odbiera czy zadaje razy. Jeżeli przemaga, to rzuca się na nieprzyjaciela naciera, ściga go, obala, depce nogami i zabija, a potem dumnie podnosi głowę i tryumfalnie spoziera na słuchaczów. Jeżeli musi ulegnąć, to się cofa, broni każdéj piędzi ziemi, skacze w bok, wzywa Boga lub djabła podług roli czy jest chrześcianinem lub poganinem, używa wszystkich chytrości podstępu, przyparty wreszcie przez nieprzyjaciela klęka na jedno kolano, walczy jeszcze, przewraca się, wije, a w końcu umiera z wdziękiem starożytnego gladiatora. Jeżeli zwyciężył to chwyta swój kapelusz jak Belizariusz swój kask i z dumą domaga się honorarium, jeżeli pobity to kapelusz wciska na oczy i pokornie wyciąga rękę jakby prosił jałmużny.

Na nieszczęście jak powiedziałem, Improwizator już znika. Ojcowie nasi widzieli go, myśmy go także widzieli, nasi synowie może go jeszcze zobaczą, jeżeli się pospieszą, ale nasze wnuki już go nigdy nie ujrzą.

Inaczéj ma się rzecz z jego sąsiadem Pisarzem publicznym. Sporo jeszcze czasu upłynie, zanim wszyscy ludzie będą umieli pisać, a szczególniéj wierne miasto Neapol. A chociażby i wszyscy umieli pisać, to czyż nie będzie zawsze listów bezimiennych téj trucizny społecznéj.

Pisarz publiczny, który może napisać na swojéj budce: *Qui si serive in francese*, tu się pisze po francuzku, jest pewnym że zrobi majątek. Dla czego? Wy mię objaśnijcie, bo ja nie wiem. Język francuzki jest wprawdzie językiem dyplomatycznym ale dyplomaci nie korespondują między sobą za pośrednictwem publicznych pisarzy.

Publiczny pisarz, pisze pod otwartem niebem, w obec wszystkich *coram populo*. Czy to postęp czy to zacofanie?

Zapomniałem powiedzieć, że lud w Neapolu myśli głośno, modli się głośno i spowiada się głośno. Pisarz publiczny jest zawsze szlachcic, a przynajmniéj tak go tytułują. On sam nazywa się *galantuomo*, gentilhomme, a na dowód pokaże wam ostatki sukiennego, surduta. Nikt nie może wyobrazić sobie ile wpływu mają suknie sukienne na neapolitański lud, podług niego jest to główna oznaka arystokracji, wielkopaństwa.

XIV.

Wycieczki. — Grób Wirgiliusza. — Puzzole. — Psia Grota.

Żeby sobie urozmaicić pobyt w Neapolu, postanowiliśmy, ja i mój przyjaciel Judin malarz i jego nieodstępny towarzysz pudel Milord, zrobić kilka wycieczek w okolice. Z okna naszego hotelu widać było grób Wirgiliusza i Puzzole, po za niemi miał być ów cudowny świat starożytnych Averno, Acheron, Styx a wreszcie Boja, owe miasto zepsucia i rozpusty.

Zabrawszy z sobą Wirgiliusza, Swetoniusza i Tacyta, wsiedliśmy do karrikola. Ponieważ stangret nasz zapytał się dokąd ma jechać odpowiedzieliśmy mu: do piekła. Zaciął konie i polecieliśmy galopem.

Na drodze do Puzzole leży grób Wirgiliusza — domyślny. Dostaje się do niego ścieżką, pokrytą wiśniami i ostem. Jest to pagórek, na którym między ruinami stoi dąb wysoki i rozłożysty. Powiadają, że dawniéj było tu olbrzymie drzewo laurowe, które samo wyrosło. Kiedy umarł Dante i laur ów usechł. Zasadził nowy Petrarka, który rosł aż do śmierci Leopardi'ego (¹). Kazimierz Delavigne zasadził trzeci, ale ten się wcale nie przyjął... czy autor *des Messeniennes* nieszczęśliwą miał rękę, czy ziemia już wyjałowiła się?

Wchodzi się do grobu po schodach na pół połamanych, między stopniami rosną mirty: na samym dole są drzwi, otwiera się je i jest się w *sanctuarium*. Powiadają, że urna zamykająca popioły Wirgiliusza, było to jeszcze w XIV wieku, pewnego dnia zabraną została pod pozorem zabezpieczenia jéj: odtąd nikt jéj już nie widział.

Kiedyśmy oglądali ten ciekawy zabytek, stangret nasz, znudzony czekaniem na nas, dla rozrywki zajrzał do karczmy. Kiedyśmy wsiedli do karrikola pokazało się, że był pijany jak Horacyusz, na czem najwięcéj ucierpiały biedne konie, które biczem popędzał Franciszek ku grocie Puzzole. Stanąwszy tu zaczęliśmy wołać na niego, żeby się zatrzymał, bo chcieliśmy obejrzeć grotę w całéj jéj długości, ale pędził jak szalony.

Zaledwie wpadliśmy w ten piekielny korytarz, kiedy karrikolo zaczepił się o coś. Stangret stojący za nami przeleciał przez nasze głowy, my znowu przelecieliśmy przez głowy koni, a konie upadły na ziemię. Jedno koło potoczyło się daléj, drugie uwięzło w wózku stojącym na drodze i cały ekwipaż stanął w miejscu jak wryty. Myślałem żeśmy wszyscy zabici; na szczęście nikt niebył ani nawet zadraśnięty.

Nasz woźnica oświadczył, że mu potrzeba będzie pół godziny czasu na przyprowadzenie do porządku całego ekwipażu, na co chętnie przystaliśmy bośmy musieli.

Za czasów Seneki nie było kolei żelaznych a zatem nie robiono tunelów, nie przekopywano gór, po prostu, jak można było przebywano przez wierzch góry — a zatem grota Puzzole była wtedy wielką rzadkością. Seneka wiele o niéj pisze, ale my nie byliśmy wcale nią zachwyceni, bo naprzód o mało nie postradaliśmy w niéj życia, a potem cała była pełna smrodliwego dymu, palącej się oliwy w 64 latarniach oświetlających to podziemie.

Mimo owych latarń w grocie było tak ciemno, żeśmy tylko po głosie znaleźli karrikolo, naprawione za pomocą sztucznych wiązań. Wsiedliśmy, Franciszek, chcąc nam pokazać, że to konie były winne a nie on, poczęstował je biczem tak potężnie jak Achilles. Konie skoczyły, ale karrikolo nie ruszył się z miejsca; na wielkie nasze zdziwienie. Stangret podwoił razy, konie podwoiły skoki, ale nie ruszyły się ani krokiem naprzód ani w tył. Nareszcie Franciszek szarpnął lejeami, świsnął batem zaklął jak wszyscy diabli, konie rzuciły się jeden na jedną, drugi na drugą stronę, ale karrikolo nie ruszył się z miejsca.

Widocznie była w tem jakaś tajemnica. Rozkazałem Franciszkowi, żeby zsiadł i zobaczył co się stało: — opierał się mówiąc, że konie muszą i bez tego jechać. Zagroziłem mu, że go razem z końmi odprawię do Neapolu. Pieniądze przełamały upór i zsiadł. W parę minut potem usłyszeliśmy naprzód westchnienia, potem jęk.

— Co tam takiego? zawołałem.

— O jaśnie panie!

— Co takiego!

— O ja nieszczęśliwy!

— Co ci się zrobiło?

— Zgubiłem głowę mojego konia!

— Jak to zgubiłeś głowę twojego konia?

— Zgubiłem!..,

— A którego z dwóch zgubiłeś głowę?

— Biednego bilancino (¹) jaśnie panie!

— Ten hultaj pijany jak bela! rzekł Judin.

— No i cóż, znalazłeś ją? zawołałem po chwili.

— Nie znalazłem... nie... nie...

— No poczekaj pomogę ci szukać.

Wyskoczyłem z karrikola; po omacku obszedłem konie i ujrzałem... jak biedny Franciszek ściskał ogon konia, bo go zaprzągł na wywrot.

Łatwo sobie resztę wytłomaczyć. Przy mojéj pomocy znalazł przecie głowę, zaprzągł ją, jak na porządnego konia i trzeźwego stangreta przystało, i krok za krokiem przebyliśmy całą grotę bez przypadku. Wydostawszy się z tego grobu odetchnęliśmy swobodniéj. Przed nami leżała prześliczna okolica, tylko słońce mocno piliło.

Po niejakim czasie pokazały się przed nami dwa psy, a za nami jakiś człowiek. Człowiek był zwyczajny, psy jeden biały, drugi czarny. Wkrótce biały pies zaczął dawać oznaki wahania się, potem coraz więcéj zostawał w tyle. Człowiek gwizdał, nic nie pomagało. Widząc jawne oznaki buntu przywiązał go do czarnego kolegi i szedł razem z niemi. Zapytałem się, co to za jeden? odpowiedziano mi, że człowiek ten ma klucz od Psiéj Groty, i że psy prowadzi dla robienia z niemi doświadczeń.

A zatem był to Arcykapłan i ofiary.

Wyraz *po kolei* objaśnił mi strach psa białego a spokojność czarnego: czarny schodził z warty, biały ją zaciągał. Jak się tylko pokażą inni podróżni, czarny pójdzie do roboty, biały będzie wolny, i tak daléj aż do szczęśliwéj śmierci.

W miarę tego jak się zbliżaliśmy do groty, rosła bojaźń białego psa. Opierał się gwałtownie swojemu koledze, który chciał wypełnić rozkaz pana. Ale instynkt zachowawczy przemógł posłuszeństwo i zamiast, żeby pies czarny pociągnął białego ku grocie, to biały przeciągnął czarnego na drogę ku domowi. Co widząc właściciel zwierząt, uznał za stosowne wdać się w tę sprawę. Ale zaledwie się przybliżył do psów, kiedy się one już ostatecznie porozumiały, i wielkim pędem oba pobiegły napowrót, zkąd przybyły. Człowiek puścił się za niemi; oczywiście im mocniéj na nie wołał, tem prędzéj biegły: w krótkim czasie i człowiek i psy zniknęły na zakręcie drogi.

Milord przypatrywał się téj całéj scenie z głęboką uwagą. Ujrzawszy dwie istoty tego samego co i on gatunku, chciał zrazu rzucić się na nie i pożreć, ale uspokojony mocnem kopnięciem pana swego, musiał przestać na roli prostego widza.

Co miało nastąpić nastąpiło. Psy schowały się do swéj budy, człowiek dognał je tam, uwiązał białego na postronku, a czarnego puścił naprzód. W kwadrans potem ujrzeliśmy znowu i psy i człowieka. Na ten raz nie było już sposobu wykręcenia się, biały musiał się poddać i być ofiarą. Przy wejściu do groty drżał jak osika, a kiedy się drzwi do niéj otworzyły na pół już był umarły. Przy drzwiach stało kilkoro dzieci prawie zupełnie nagich; każde z nich trzymało w ręku jakieś zawiniątko, żabę, węża, świnkę morską, kota lub coś podobnego.

Zwierzęta te miały służyć ku zabawie tych amatorów, którzy nie zadawalniają się zemdleniem, a chcą prawdziwéj śmierci. Psy są za drogie do takiéj operacyi: cztery piastry sztuka, kiedy za jednego karlina można widzieć, jak zdycha żaba, za dwa jak zdycha wąż, za trzy jak zdycha świnka morska, a za cztery jak zdycha kot. To prawie darmo, jak widzimy. Jeden z wicekrólów, nie miał widać pieniędzy w kieszeni, bo kazał wepchnąć do psiéj groty dwóch niewolników tureckich, i widział darmo ich męki i skonanie.

Jest to szkaradna rzecz zawsze, ale cóż chcecie, zwyczaj mocniejszy od moralności. Prawda, że zwierzęta umierają, ale człowiek żyje z tego. Zarobek trudny w Neapolu, trzeba i to cierpieć.

Grota ma prawie trzy stopy wysokości, a dwie i pół głębokości. Wsunąłem głowę w górę i nie czułem, żadnéj prawie różnicy między wewnętrznem i zewnętrznem powietrzem. Rzeczywiście zabójcze gazy działają tylko na wysokości jednéj stopy od ziemi, ale zabijają w kilka sekund i zwierzęta i człowieka.

Przyszła kolej na nieszczęśliwego białego psa. Jego pan wepchnął go do groty bez oporu, ale jak tylko tam wlazł, wróciła mu energja. Szukał, stawał na nogach, żeby głowę wynurzyć z zarazy. Wszystko napróżno! wnet napadło go konwulsyjne drganie, upadł na ziemię, wyciągnął się sztywno i leżał bez ruchu. Właściciel wyciągnął za ogon z groty; nie ruszał się wcale, piana lała mu się z pyska, myślałem że zdechł.. Zemdlał tylko! Powietrze świeże ocuciło go, płuca zaczęły robić jak miechy, podniósł głowę, potem chwiejąc się podniósł się na nogi, jakby był pijany. Nagle zaczął biedz co miał sił i niezatrzymał się, aż o jakie sto kroków, na pagórku. Tu usiadł na tylnych łapach i patrzał przed siebie jeszcze na pół obłąkany.

Myślałem, że to już koniec i że człowiek już go nigdy nie złapie. Gdzie tam! Naprzód pan jego oświadczył mi wręcz, że nie rozumiem wcale natury psa, a potem wydobywszy kawałek chleba pokazał go białemu, który widocznie zaczął naradzać się sam z sobą. Bojaźń, łakomstwo trzymały go w zawieszeniu — łakomstwo zwyciężyło. Przybiegł, kręcąc ogonem i zjadł chleb tak smacznie, jak gdyby przed chwilą nic nie zaszło między nim a człowiekiem i grotą z jego nazwiskiem. Czarny tymczasem przypatrywał się téj operacji, siedząc na zadnich nogach z wielką powagą, i zapewne powtarzał sobie jak ów pijak: „i ja w niedzielę będę takim samym jak biały." Co do Milorda, ten się skrył pod siedzenie i zapewne myślał o tem tylko, żeby go nie odkryto.

(1) Współczesny poeta sławny ze swoich hymnów, pisanych do Włoch.

1) Do karrikola zaprzęga się zwykle dwa konie: jeden w dyszlu ten się nazywa *timonio*, drugi obok niego galopuje i ten nazywa się *bilancino*.

Zapytałem się człowieka jak się nazywają te biedne czworonogi, których całe życie miało upłynąć na tem, że będą mdléć i cucić się dla pożytku i przyjemności ciekawych turystów. Nazywały się Kastor i Pollux, zapewne dla tego, że jak owi niebiescy bliźnięta, są skazani żyć i umrzeć razem. Bardzo mi ich żal było, ale nie jestem dosyć mocny na to, żeby zmieniać losy nakreślone przez Opatrzność. Co do żaby, węża, świnki morskiéj, kota, oświadczyliśmy ich właścicielom, że mamy już dosyć doświadczenia psiego. Dla pociechy biednych dziatek, zajmujących się tak przyjemnym przemysłem, daliśmy im cztery karliny, żeby miały o czem czekać na żarłoczniejszych od nas amatorów krwawych widowisk. (d. c. n.)

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dalszy ciąg)

— Bardzo to łatwo być wesołą i łagodną, rzekła Zuzia udobruchana, bardzo to łatwo mając na ręku dziecko, które wszyscy uwielbiają i podziwiają jak jakie bóstwo, ale kto jak ja patrzy ciągle na biedną dziecinę dobrą jak aniołek, którą każdy pomiata, któréj nikt nie kocha — to chybaby duszy nie miał w sobie, żeby na to patrzał spokojnie... A cóż to znowu? zawołała w tem przerywając sobie znagła i zwracając się z gniewem do Florci, — jeszcześ mi panna nie zasnęła? Zaraz mi proszę zamknąć oczy i ani się ruszyć więcéj, bo inaczéj sprowadzę wilkołaka, żeby cię żywcem pożarł. A co? oto już idzie, czy go nie słyszysz?

Tu dał się słyszeć straszliwy ryk, którym Zuzia chciała dowodnie przekonać Florcię, o zbliżaniu się potworu, oraz o niecierpliwości z jaką się zabierał do spełnienia ciężkich obowiązków swego stanowiska. To zrobiwszy, pokojówka już pewna, że uspokoiła dziecko, poprawiła mu poduszki i nakryła głowę prześcieradłem, co się wszystko odbyło bardzo zamaszyście i z wyrazem nieukontentowania; potem zasiadła z założonemi rękami przed kominkiem i tam pozostała milcząca i nachmurzona przez resztę wieczoru.

Jakkolwiek, według zapewnień Polly, Pawełek był dzieckiem „nadzwyczajnie rozwiniętem,“ musimy przyznać, iż tak wypadki onego wieczoru, jak równie przygotowania do obrzędu chrztu, przeszły dla niego całkiem niepostrzeżenie. Podobnież wielki zachód około stosownego przystrojenia jego osoby, jakoteż mamki i siostry, uszedł całkiem jego uwadze. Godzi się nawet przypuścić, że nie miał wcale pojęcia o ważności zbliżającego się obchodu, a przynajmniéj nie dał niczem poznać, aby miało być inaczéj. Pozostał jak dotąd bardzo usposobiony do częstego zasypiania, a także do głośnego płaczu, ilekroć się brano do przebierania jego osoby.

Nadszedł wreszcie ów dzień uroczysty, a był to chmurny i wietrzny dzień jesienny, całkiem zastosowany tą razą do swego przeznaczenia. Postawa Dombeya zdawała się uosabiać tajemniczą pomrokę i chłód przejmujący gotującego się obrzędu; czekał na gości w swym gabinecie, zimny i sztywny jak jesienny przymrozek, a gdy od czasu do czasu wzrok jego padał przez szyby na drzewa rosnące w dziedzińcu, zdawało się, że ich liście pożółkłe drżały i opadały, strącone na ziemię lodowatym promieniem tego spojrzenia.

Zimne i ciemne komnaty tego posępnego domu zdawały się nosić żałobę, tak jak jego mieszkańcy. Spojrzawszy na książki biblioteki, najsystematyczniéj poustawiane rzędami według porządku wielkości i przyodziane w sztywne i połyskujące mundury, rzekłbyś, że wszystkie one zawierały myśl jedną i tę samą, streszczającą się w słowie: zlodowacenie.

Szafy biblioteczne starannie wypolitorowane i na klucz pozamykane, zdawały się odpierać wszelki towarzyski stosunek. Na szczycie środkowéj, brązowe popiersie Pitta nie przypominające bynajmniéj rysami boskiego podobieństwa ludzkiéj postaci, strzegło owych nieprzystępnych skarbów, niby wschodni czarnoksiężnik, a przykurzone dwie urny dobyte z jakichś starożytnych grobowców i poustawiane po rogach nad gzymsami, przemawiały ztamtąd jakby z kazalnic, wygłaszając przypomnienia śmierci, gruzów i zniszczenia. Nawet duże zwierciadło umieszczone nad kominkiem i odbijające postać Dombeya, zdawało się zamglone jakąś posępną zadumą.

Ciężkie i pękate okratowanie kominka zdawało się mieć pewną pokrewność z napuszoną postacią bankiera, stojącego naprzeciw w starannie zapiętym fraku i w białym krawacie, z ciężkim złotym łańcuchem od zegarka i skrzypiącemi butami.

W kilka chwil po wejściu Dombeya do gabinetu, przybyła pani Chick wraz z mężem.

— Drogi Pawle — rzekła do brata, ściskając go z rozczuleniem — rozpoczynamy dzisiaj, tak sobie tuszę, cały szereg dni szczęśliwych.

— Dziękuję ci za twą wróżbę, Luizo, odpowiedział dość kwaśno Dombey. Jak się masz, panie Janie?

— Dobrze, bardzo dziękuję, odrzekł Chick.

To mówiąc, podał Dombeyowi rękę tak ostrożnie, jak gdyby się obawiał go zelektryzować. Ten zaś, wziął ją w taki sposób w jaki by się dotykał ryby, lub jakiéj oślizgłéj morskiéj rośliny, i zaraz ją oddał z uroczystą uprzejmością.

— Możebyś życzyła Luizo, aby zapalono ogień na kominku? rzekł zwracając bardzo nieznacznie ku siostrze głowę oprawną w sztywny krawat.

— O nie, mój Pawle, całkiem to dla mnie zbyteczne, odpowiedziała pani Chick, która w tej chwili o mało nie szczękała zębami.

— Panie Janie, a tobie czy nie zimno? spytał Dombey.

Zapytany, który już schował był ręce w kieszenie dla rozgrzania ich, i właśnie się zabierał do zanucenia, którejś z owych piosneczek tyle wstrętnych jego małżonce, zapewnił szwagra, że mu było całkiem ciepło.

Uczyniwszy to, znowu bezwiednie zaczynał nucić pod nosem, kiedy Towlinson ukazał się na progu, zwiastując przybycie panny Tox.

Jednocześnie pani ta weszła z nosem posiniałym i twarzą skurczoną od zimna, bardziéj jeszcze dla niéj dokuczliwego z powodu lekkiego ubrania upstrzonego skrawkami koronek i wstążek, które przywdziała była jako stosowne do okoliczności.

— Jak się miewa panna Tox? rzekł uprzejmie Dombey.

Zapytana dygnęła w obłoku owiewającym ją osłon, a raczéj niby przysiadła nagle na podobieństwo teatralnéj lornetki, którą ktoś zamyka. Nizki ów ukłon był podziękowaniem za zaszczyt jaki jéj uczynił Dombey, postępując o całe dwa kroki na jéj spotkanie.

— Okoliczność ta nie wyjdzie mi nigdy z pamięci, chciéj pan temu wierzyć, rzekła najsłodszem brzmieniem swego głosu; doprawdy — nigdy, droga Luizo, i dotychczas zaledwie umiem wierzyć, że mię w téj chwili zmysły nie łudzą.

W każdym razie, nie wszystkie zmysły łudziły pannę Tox gdy wymawiała te słowa. Była ona w istocie na wpół zmarzniętą i nieznacznie pocierała chustką koniec zsiniałego nosa, z obawy aby zimna jego temperatura nie przeraziła dziecięcia przy czułem z niem powitaniu.

Wkrótce też wniosła uroczyście Richards spadkobiercę Dombeya, a za nią weszła i Florcia w towarzystwie Zuzi.

Jakkolwiek tak mamka jak dzieci nosiły w dniu tym mniéj ciężką żałobę, sam widok tych drobnych sierot wystarczał już na zasmucenie obrzędu. Pawełek rozkrzyczał się okropnie, zaledwie go się panna Tox dotknęła, a ogólne zajęcie jakie wywołała ta okoliczność stanęło na przeszkodzie zamiarowi Chicka, popieszczenia nieco Florci. Gentleman-ów, dla tego może właśnie, że miał codzień sposobność bliższego ocenienia doskonałości rodu Dombeyów, całkiem był obojętny w przedmiocie wysokich jego przeznaczeń; kochając szczerze Florcię, otwarcie to okazywał, jakkolwiek żona usiłowała zawsze podobne objawy o ile się dało powstrzymywać.

— No chodźże Florciu, rzekła z żywością ciotka do dziewczynki, o czemże tak myślisz? Przybliż się do ojca, zabaw także braciszka, wszakże widzisz że płacze.

Zaprawdę rzecby można, że i tak już zimne powietrze pokoju schłodniało jeszcze od lodowatego spojrzenia, jakie Dombey zatrzymał przez chwilę na córce, podczas gdy klaskając w ręce i wspinając się na palce, usiłowała zwrócić uwagę jego syna i spadkobiercy. Dokazała tego wreszcie i spadkobierca ów pochylił się wtedy ku niéj, zstępując niejako chwilowo z wyżyn swego stanowiska. Za poczciwem a nieznacznem staraniem Polly, usiłującéj zawsze uwydatnić w obecności ojca przywiązanie Pawełka do siostry, dziecię uspokoiło się zaraz i poczęło się bawić wesoło z Florcią. Gdy się za mamkę schowała szukało jéj oczami; skoro się ukazała, wykrzykiwało radośnie, podskakując całemi siłami na ręku mamki, a kiedy siostra ku niemu podbiegała i okrywała je pocałunkami, brało w paluszki bujne zwoje jéj włosów i w rączkach je ściskało, jakby znajdując upodobanie w téj pieszczocie.

Czy na to z zadowoleniem patrzał Dombey? tego niktby nie umiał powiedzieć. Wyraz jego twarzy w niczem się nie zmienił, zresztą wszelki zewnętrzny objaw uczucia, przeciwny był naturze tego człowieka. W każdym razie, jeżeli wzajemne dwojga dzieci pieszczoty rozjaśniły chwilowo posępną pomrokę owej komnaty, to ów promień wesela nie dosięgnął oblicza ich ojca, owszem mrożące jego spojrzenie zagasiło od razu ożywcze światło uśmiechniętych oczu Florci, skoro się tylko z niem spotkały.

Smutny był zaprawdę ów szary dzień jesienny słabo wnętrze pokoju oświetlający; po chwili gdy znowu cisza w nim zapanowała, przerywał ją tylko cichy szelest liści posępnie opadających.

Dombey spojrzał na zegarek.

— Panie Janie, rzekł kładąc rękawiczki i biorąc za kapelusz, chciej moją siostrę poprowadzić; co do mnie, podam dziś ramię pannie Tox. Najlepiej będzie jeśli pójdziecie naprzód z panem Pawłem i z mamką. Zalecam tylko jak największą ostrożność.

Do karety firmy Dombey i syn wsiadły pani Chick i panna Tox wraz z mamką i z Florcią. Za niemi pojechał mniejszym powozem pan Chick z Zuzanną Nipper; ta ostatnia ciągle oknem wyglądała, czując się nieco zakłopotaną owem sam na sam. Ilekroć jéj towarzysz czynił jakie poruszenie, zdawało się jéj, że słyszy dźwięk jakiś lub też szelest i sądziła, że Chick już był zajęty zawijaniem w papier brzęczącego podarunku stosownego do okoliczności.

Gdy w ciągu podróży Dombey klasnął w ręce dla

zabawienia syna, ów objaw rodzicielskiego uczucia obudził prawdziwy zachwyt u panny Tox, ale co prawda chwila ta była jedyną, w której ów pochód, odmienny od pogrzebu tylko barwą powozu i koni, zdał się nieco od niego weselszym.

Wspaniale otyły zakrystjan przyjął orszak u wejścia kościoła. Gdy Dombey, wysiadłszy z powozu dla podania ręki paniom, znalazł się obok niego, wydawał się być drugim zakrystjanem, nieco mniej okazałym może, ale za to bardziej przerażającym.

Ręka panny Tox zadrżała z lekka, gdy oparta na ramieniu Dombeya, wstępowała na schody kościoła, w assystencji trójgraniastego kapelusza i krochmalnego kapelusza zakrystjana, zupełnie tak samo jak gdyby się gotowała do owego obrzędu w którym na zapytanie: Czy bierzesz tego człowieka za męża? kobieta odpowiada: biorę go.

— Proszę wchodzić prędko z dzieckiem, żeby się nie zaziębiło, szepnął zakrystjan, trzymając otwarte wewnętrzne drzwi kościoła.

Gdy wniesiono do niego Pawełka, mógł on zaprawdę powtórzyć zapytanie Hamleta: Jestże to grób mój? tyle przybytek ów był zimny i zamroczony. Wszystko tam składało się na ponure wrażenia: ogromna kazalnica pokryta pokrowcem wraz z pulpitem, długie szeregi pozamykanych i pustych ławek, ciągnące się aż ku bocznym nawom, inne znowu wznoszące się stopniowe ku sklepieniom i gubiące się w cieniach osłaniających potężnych rozmiarów organy, przybierające w mroku potworne jakieś kształty, wilgotne słomianki porozściełane na chłodnych kamiennych taflach, a dalej, w najciemniejszym gdzieś kącie kołyszące się sznury, poskładane kosze i szczotki od zamiatania razem z przyborami służącemi do pogrzebów; wszystko to oświetlone słabo, owiane dusznem i niemiłem powietrzem — taką była całość tego obrazu.

— W téj chwili właśnie ślub się odbywa, ale się już ma ku końcowi, rzekł zakrystjan do Dombeya, tymczasem może pan zechce przejść się po zakrystji.

To mówiąc, sługa kościelny zabrał się do pokazania drogi Dombeyowi, kłaniając mu się z pewnym uśmiechem mającym oznaczać, że nie zapomniał dnia w którym brał udział w obrzędzie pogrzebu jego żony, i że żywił nadzieję, iż boleść jego już była ukojoną.

Ślub który miał miejsce w téj chwili, wyglądał też jakoś złowrogo. Narzeczona nie była dość młoda, narzeczony był nim znowu zanadto, na czele ślubnego orszaku jednooki jakiś elegant usiłował osłonić lornetką swe kalectwo; rodzina i przyjaciele drżeli od zimna. W zakrystji kominek dymił haniebnie, stary przygarbiony pisarz przerzucał krztusząc się od kaszlu, pargaminowe karty ogromnéj księgi, samemi aktami zejścia zapisanéj. Koło kominka wisiał na ścianie plan ze szczegółowym opisem wszystkich grobów znajdujących się pod kościołem, a gdy Chick dla rozweselenia towarzystwa zabrał się do odczytania tego dokumentu, zdarzyło się, że wygłosił cały opis grobu żony Dombeya, zanim się spostrzegł, że mu wypadało zaprzestać.

Po pewnym czasie, staruszka niemniéj od dependenta przygarbiona i dychawiczna, i wyglądająca raczéj na cmentarną sługę jak na kościelną, przyszła poprosić orszak chrzestny do kościoła. Tam, wypadło poczekać jeszcze nieco zanim odeszli państwo młodzi, za któremi pospieszała skwapliwie babka kościelna kaszląc bardzo rozgłośnie z obawy, aby o niéj nie zapomniano.

W chwilę potem pisarz jedyny tu człowiek, wyglądający nieco weseléj, — a był to przedsiębierca pogrzebowych obrzędów — nadszedł z garnkiem wody gorącéj, któréj część wlał do chrzcielnicy, mrucząc coś pod nosem. Być może, iż miał na celu ogrzać ją cokolwiek, ale prawdopodobnie nie dokazałyby tego w téj chwili całe beczki ukropu. Wreszcie ukazał się pastor, młody człowiek twarzy miłéj i łagodnéj, cały w bieli ubrany i wyglądający w téj chwili na główną postać jakiejś baśni o strachach. Zdawał się nieco zmięszany uroczystym nastrojem całego orszaku, nawzajem też widok jego sprawił na Pawełku tak przerażające wrażenie, że nie przestał krzyczéć podczas chrztu i długo jeszcze potem. Starania około uspokajania Pawełka zajęły do tego stopnia uwagę obu pań, że pani Chick nie konieczníe na właściwem stanęła miejscu, panna Tox zaś, otworzywszy wypadkiem książkę na stronnicy nabożeństwa podczas morowéj zarazy, przeczytała ją od deski do deski z wielkiom namaszczeniem.

Przez cały ciąg obrzędu Dombey pozostał całkiem napozór niewzruszonym, słowem, gentlemanem w całem znaczeniu tego wyrazu; nigdy go nie widziano bardziéj zlodowaciałym, co w części tłomaczyła para wychodząca z ust pastora, podczas gdy czytał modlitwy. Jedyna chwila w któréj kamienne te rysy ożywiały się nieco, była ta w któréj celebrujący przypominając rodzicom chrzestnym ich obowiązki, zwrócił się nieco w stronę pana Chicka i panny Tox. Wspaniałe wejrzenie Dombeya dało wtedy wyraźnie do zrozumienia, że byłby z chęcią nakazał milczenie duchownemu.

A jednak, jestże obrzęd bardziéj stający w przeciwieństwie z ludzką dumą i próżnością, nad ten, który się w téj godzinie przed oczami Dombeya odbywał? I byłoż podobna, aby szczytne jego znaczenie nie znalazło przystępu do téj zamarłéj duszy?

Tak było jednak niestety! Gdy się wszystko skończyło, naczelnik firmy Dombey odprowadził z równą powagą i sztywnością pannę Tox do zakrystji, gdzie oświadczył pastorowi, iżby mu było przyjemnem podejmować go w dniu tym u siebie, gdyby żałoba jego domu nie stawała temu na przeszkodzie. Gdy nareszcie podpisy zostały już w księgę zaciągnięte, cały orszak przeciągnął znowu kościołem ku wyjściu, darząc po drodze babkę i zakrystjana, a także znajdującego się tam, zapewne przypadkiem grabarza, który właśnie stał na schodach bardzo zajęty badaniem stanu powietrza.

Po kilku chwilach, powozy stanęły przed domem Dombeya, i całe towarzystwo znalazło się znowu w obecności brązowego Pitta, którego nos zdawał się bardziéj jeszcze zadzierać na widok zimnych przekąsek przygotowanych z wielkim przepychem srebra i kryształu, co wszystko razem wyglądało raczéj na wspaniałe jakieś skamieniałości, niżeli na prawdziwe do jedzenia potrawy. Za przybyciem do domu, panna Tox ofiarowała swemu chrzestnemu synkowi kubeczek, a pani Chick dała mu mały srebrny sztuciec. Dombey zaś podarował pannie Tox dosyć pokaźną bransoletkę którą przyjęła z czułem rozrzewnieniem.

— Panie Janie, chciéj usiąść u tamtego końca stołu, rzekł bankier. Co tam masz przed sobą?

— Wyborną pieczeń cielęcą, odparł Chick, zacierając żywo zgrabiałe ręce, może mogę panu nią służyć?

— Dziękuję, mam tu znowu główkę cielęcą w galarecie, odpowiedział Dombey. Jest także pasztet ze zwierzyny, szynka, majonezy i homary, kto czego życzy? Panna Tox raczy może wypić trochę wina Szampańskiego? Proszę nalać wina pani.

Wino to było niemal z lodem. Przełykając je, panna Tox zaledwie powstrzymała wykrzyk, który wysileniem woli zmienił się wychodząc z ust jéj, w słodkie westchnienie wdzięczności. Cielęcina widocznie stać musiała w wyjątkowo chłodnéj spiżarni, skoro za pierwszym jéj kawałkiem Chick przemarzł do szpiku kości, jak gdyby zlodowaciały ołów dostał się był do jego wnętrzności. Jeden tylko Dombey pozostał niewzruszonym. Na widok tego człowieka nasuwała się mimowoli myśl, że przydałby się do jarmarcznéj jakiéj wystawy w krajach podbiegunowych, jako wyborny okaz zamrożonego gentlemana.

Mroźna temperatura pokoju zmogła nareszcie nawet panią Chick i odebrała jéj zwykłą wielomówność i ożywienie, wszystkie jéj wysiłki dążyły tą razą tylko do okazania, że jéj nie było zimno wcale.

— Pozwolisz panie Dombey, odezwał się Chick czyniąc rozpaczliwe wysilenie dla przerwania długo trwałego milczenia i nalewając sobie kieliszek Xeresu, pozwolisz że wniosę zdrowie Pawła.

— Oby Bóg raczył błogosławić téj ukochanéj dziecinie, wyszeptała panna Tox, dotykając ustami kieliszka.

— Ten drogi nasz mały Dombey! westchnęła pani Chick.

— Panie Janie, wyrzekł Dombey z wyrazem surowéj powagi, syn mój poczuwałby się niewątpliwie w tym razie do obowiązku wdzięczności i nie omieszkałby ją wyrazić, gdyby był w stanie ocenić wyświadczoną mu uprzejmość. Mam niezachwianą wiarę, że podobnież na przyszłość okaże się on gotów spełnić wszelkie zobowiązania, które wkładać na niego będzie życzliwość jego krewnych i przyjaciół w stosunkach życia prywatnego, równie jak i te które w życiu publicznem mu przypadną, ze względu stanowiska naszego domu.

Sposób w jaki powyższe słowa zostały wyrzeczone usuwał wszelką możliwość wszelkiéj odpowiedzi, zaczem Chick zapadł znowu w kłopotliwe milczenie. Panna Tox postąpiła sobie wszelako w tym razie całkiem odmiennie, bowiem, wysłuchawszy przemowy Dombeya z wielkim wytężeniem uwagi i przechylając znacząco głowę, to na jedną, to na drugą stronę, pochyliła się przez stół ku pani Chick i rzekła z cicha:

— Luizo!

— A co, moja duszko? odpowiedziała podobnież zapytana.

— Powiedz mi jak to było — odrzekła panna Tox: „zarówno jak i te które w życiu publicznem mu przypadną“... daléj już nie pamiętam.

— „Ze względu położenia naszego domu,“ dodała pani Chick.

— O nie moje serce, przerwała panna Tox, to było inaczéj: Jestem pewna, że inaczéj — jakoś, składniéj i w sposób bardziéj wytworny... ze względu... stanowiska naszego domu... o — to właśnie, stanowiska.

— Tak, stanowiska — tak było istotnie, potwierdziła pani Chick.

Tu panna Tox złożyła swe chude, ale bardzo wypieszczone ręce i klaskając w nie z lekka, zawołała wznosząc oczy do sufitu:

— To jest wymowa, co się nazywa!

Podczas téj rozmowy dwóch przyjaciółek, Dombey rozkazał, aby przywołano Richards. Weszła niebawem, ale bez dziecka, bowiem Pawełek strudzony długim płaczem w kościele, usnął był zaraz po powrocie do domu. Dombey nalawszy kieliszek wina podał go z powagą swojéj służebnicy, darząc ją następnemi wyrazy, które panna Tox wysłuchała z wyciągniętą szyją i z wytężoną uwagą, aby je w sercu swojem wyryć.

— Od sześciu miesięcy przebywasz w domu moim, Richards, i przez cały ten czas przyzwoicie spełniałaś twe obowiązki. Życząc zatem abyś mia-

ła udział w radośnym obchodzie dnia dzisiejszego, zastanowiłem się nad tem w jaki sposób stosownie cię za to wynadgrodzić, a nawet poradziłem się w tym względzie mojéj siostry...

— Pani Chick — wtrącił w tem miejscu gentleman tego nazwiska.

— Ale proszę pana — nie przerywaj, raczéj słuchaj uważnie, odezwała się półgłosem panna Tox.

— Chciałem ci właśnie powiedzieć Richards, ciągnął daléj Dombey, karcąc szwagra surowem spojrzeniem, że na postanowienie moje wpłynęło przeważnie w tym razie przypomnienie rozmowy, jaką miałem z twoim mężem w tym oto pokoju, wtedy gdy służbę u mnie przyjmowałaś. W rozmowie téj, mąż twój odsłonił przede mną ową smutną prawdę, że tak on jak i cała wasza rodzina, w grubéj jesteście pogrążeni ciemnocie.

Richards zdawała się zgnębioną uroczystością tego wyrzutu.

— Daleki jestem, ciągnął daléj Dombey, od dzielenia przekonań pewnych postępowców, co do potrzeby ogólnego wykształcenia, ale to czego koniecznie należy uczyć ludzi umieszczonych na niższych szczeblach społeczeństwa, to aby znali dokładnie swe położenie i przyzwoicie się w niem zachowali. Pod tym względem, szkoła wydaje mi się całkiem odpowiednią; że zaś mam prawo do umieszczenia jednego ucznia w zakładzie od dawna znanym pod nazwą Przytułku Szlifierzy, gdzie dają dzieciom przyzwoite wychowanie, a późniéj odpowiednią pomoc w wynalezieniu zajęcia, porozumiałem się z twoją rodziną za pośrednictwem pani Chick i otrzymałem wakujące miejsce dla starszego waszego syna. Dziś właśnie otrzymał ztamtąd ubranie, gdyż i to dzieci tam dostają. Numer jéj syna, dodał Dombey zwracając się ku siostrze i mówiąc o dziecku jak gdyby rzecz szła o dorożkę — jest podobno sto czterdzieści siedm. Luizo, musisz to wiedzieć.

— Sto czterdzieści siedm. Tak właśnie moja Richards, rzekła pani Chick. Ubranie zaś składa się z porządnéj kurtki z ciepłego i ładnego barchanu niebieskiego, z czapki opasanéj taśmą pomarańczową, z mocnych spodni skórzanych i z czerwonych pończoch wełnianych. To doprawdy takie ubranie że można by z zadowoleniem na niem poprzestać, dodała pani Chick z prawdziwym zachwytem.

— O moja Richards, dopieroż się teraz pysznić będziesz synem! zawołała panna Tox. Uczeń z Przytułku Szlifierzy!

— Czuję ile winnam wdzięczności jaśnie panu za jego pamięć o mojéj rodzinie, odpowiedziała cichym głosem Polly. Gdy to mówiła, widziała myślą swego biednego chłopczynę pomiędzy wychowańcami Przytułku Szlifierzy, jak sobie rady dać nie mógł ze swemi małemi nóżkami w twardem ubraniu, którego dogodność pani Chick tak wymownie opisała. Obraz ten przywołał łzy do jéj oczu.

— Cieszy mię to Richards, że umiesz być wdzięczną, rzekła uprzejmie panna Tox.

— Widząc to, dodała pani Chick, wielce bystra serc ludzkich znawczyni, można uwierzyć, że uczucie i prawość nie wygasły jeszcze do szczętu na tym świecie.

Richards dała poznać głębokim ukłonem, ile ceniła otrzymane pochwały, wszelako nie mogąc pokonać wzruszenia jakie w niéj zbudzała myśl o nowem położeniu syna, zbliżyła się nieznacznie ku drzwiom i wyszła z pokoju jak tylko mogła najprędzéj.

Chwilowe oznaki cieplejszéj atmosfery jakie się pojawiły z jéj wejściem, wraz z nią też znikły, i wszystko znowu zamarzało, silniéj może niż przedtem. Po dwakroć, u drugiego końca stołu Chick zanucił coś słabo, a zawsze były to urywki z żałobnego marszu Saula. Stopniowo, przy coraz wzrastającym mrozie, całe towarzystwo przeszło niejako w stan lodowéj bryłowatości, stanowiącéj poniekąd jedną całość z zastawą stołu, około którego było zgromadzone. Wreszcie, po zamianie znaczącego wejrzenia pomiędzy panią Chick i panną Tox, obie przyjaciółki wstały z miejsc swoich, mówiąc że czas już było się rozejść. Że zaś Dombey przyjął to oświadczenie w sposób całkiem bezstronny, pożegnały się z nim niezwłocznie i odjechały w towarzystwie pana Chicka, który zaledwie wsiadłszy do powozu, wyciągnął się w nim bardzo wygodnie i włożywszy ręce w kieszenie począł gwizdać jakąś wesołą śpiewkę w sposób tak wyraźnie wyzywający, że na teraz małżonka jego nie zdobyła się na żadną uwagę, a tem mniéj też na naganę.

W domu Dombeya tymczasem wszystko wróciło do zwykłego porządku. On pozostał u siebie, samotny swoim zwyczajem; Polly zaś trzymając na ręku Pawełka, myślała ciągle mimowoli o swym synu i łzy płynęły jéj z oczu. Czuła własną niewdzięczność, a jednak nie przestawała płakać, posępne wrażenia dnia tego i na nią oddziałały, widziała ciągle swego Roberta w tem nowem jego ubraniu, powtarzała sobie numer mający być odtąd jego nazwiskiem, i zdawało się jéj jakby świat cały wokoło niéj pociemniał.

— Nie wiem cobym za to dała, rzekła wreszcie do Zuzi, żebym mogła zobaczyć mego chłopczyka, zanim go tam przebiorą.

— Jeśli tak, to pójdź go pani odwiedzić, odpowiedziała pokojówka, to jedyny sposób żebyś się uspokoiła.

— Ależ pan Dombey nigdy na to nie pozwoli, i bardzo byłby nie kontent...

— A po cóż mu nawet o tem i mówić? zawołała żywo Zuzia. Wiesz pani, dodała po chwili oto mam projekt gotowy. Wiem na pewno, że te dwie czarownice co nas tu ciągle szpiegują, jutro rano się u nas nie pokażą; słyszałam to na pewno, że gdzieś mają pojechać. Otóż wybierzemy się niby na przechadzkę, bo i ja pójdę z panną Florą, i tym sposobem zajdziemy gdzie nam potrzeba, a czyż to nawet nie przyjemniéj będzie, jak ciągle chodzić tam i na powrót po téj saméj ulicy?

Zrazu Polly odparła tę myśl w sposób bardzo stanowczy, ale powoli oswoiła się z nią stopniowo. Obraz domu i dzieci stawał przed nią z coraz żywszemi barwami, tęsknota przemawiała głosem coraz silniejszym, aż wreszcie biedna matka uwierzyła, że nic by w tem złego nie było, żeby na jaką chwilkę wpadła do domu dla uściskania dzieci, i ostatecznie przystała na ułożoną przez Zuzię wycieczkę.

Właśnie gdy już na tem stanęło, Pawełek jakby dręczony złem jakiemś przeczuciem, rozkrzyczał się przeraźliwie.

— Co się też stało temu dziecku? spytała Zuzia.

— Może mu trochę zimno, odpowiedziała Polly, tuląc Pawełka do siebie i chodząc z nim po pokoju, żeby go uspokoić.

A tymczasem mrok zapadał coraz bardziéj, zakończając smutny ów dzień jesienny, a w ogródku przez zapotniałe od zimna szyby, widać było liście zeschłe posępnie z drzew upadające.

VI.

Powtórne osierocenie Pawełka.

Przez cały następny poranek złe jakieś przeczucia trapiły tak uporczywie biedną Polly, że gdyby nie wytrwałe naleganie Zuzi, byłaby się wyrzekła zamierzonéj wyprawy, i raczéj znalazłaby odwagę zanieść wyraźną prośbę do Dombeya, o pozwolenie zobaczenia się z numerem sto czterdziestym siódmym, pod uroczystym jego i groźnym dachem. Ale Zuzia która raz co umyśliwszy, nie łatwo to sobie z głowy wybić dawała, umiała tak przerażająco wystawić mamce następstwa podobnie zuchwałego kroku, a zarazem tyle ją zachęcić do spełnienia pierwotnego zamiaru, że ostatecznie zaledwie wspaniała postać Dombeya znikła za węgłem ulicy o zwykłéj godzinie przechadzek bankiera do giełdy, syn jego rozpoczął podróż w całkiem przeciwnym kierunku, niesiony na ręku Polly i w towarzystwie Zuzi prowadzącéj za rękę Florcię, poszturchając ją od czasu do czasu.

Celem téj wyprawy było przedmieście zwane Staggs — Gardens, znajdujące się w okolicy miasta dotąd dosyć bezludnéj, a teraz już zaczynającéj się bardziéj ożywiać zaczętemi robotami około kolei, mającéj tamtędy przechodzić. Gorączkowe życie przemysłu budziło się w tem miejscu, zastępując niedawny spokój w którem życie upłynęło całym pokoleniom. Spojrzawszy wokoło siebie, rzekłbyś iż trzęsienie ziemi poruszyło tu wszystko do głębi. Obok gruzów domów na wpół porozwalanych, widać było wysokie kupy żwiru lub gliny, a przy nich przekopy zamykające ulice nie mające już istnieć. Tam kamienie nagromadzone stosami, tu żelaztwa różnego rodzaju, szyny i sztaby, podkłady i kafary, mosty nie wiodące już do niczego, przejścia którémi przechodzić nie było już podobna, czasowe szopy drewniane, ogrodzenia niczego już nie chroniące, stosy cegieł, drzewa i gruzu, pełno połamanych i poprzewracanych wozów; tu i owdzie kałuże, tam znowu kupy popiołu pomiędzy tem wszystkiem, a wszędy ślady zniszczenia i przewrotu, z pośród których przeświecały już zarysy przyszłego, całkiem odmiennego bytu, — takim był obraz téj dzielnicy mającéj przed sobą nieposlednią przyszłość, obecnie z chaosu owego dopiero się wytwarzającą.

Niemniéj jednak, znalazło się już kilku przemysłowców, probujących wyzyskiwać nowe jéj położenie. Jeden z nich wystawił był — nieco może przedwcześnie, dość pokaźną austerję noszącą napis: Pod znakiem lokomotywy, — jedynym jéj dotąd przeznaczeniem było dostarczać trunki robotnikom. Właściciel nie zrażał się tem jednak bynajmniéj; pamiętając że nie jeden wspaniały pałac miał za początek lichą karczemkę; z tem wszystkiem nie zdawało się, aby podobne zakłady mogły się tu wkrótce opłacać, i prawdopodobnie niemało jeszcze miało wody upłynąć, zanim się tu wszystko mogło uporządkować.

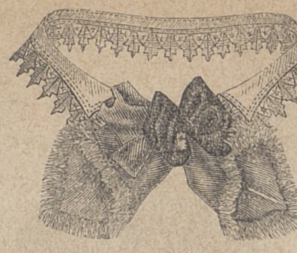
(d. c. n.)



N. 4. Uczesanie włosów. Przód.



N. 2. Mankiet do N. 1.



N. 1. Kołnierzyk płócienny z haftem gipiurowym i kokardą. Deseń szlaczku ryc. 29 i 30 w N. 44 Tyg.



N. 3. Kokarda do włosów odpowiednia kokardzie przy kołnierzyku N. 1.



N. 5. Uczesanie włosów. Tył głowy.

Opis do N. 45.

(Dalszy ciąg)

N. 11. Ubranie dla małego chłopczyka złożone z luźnego kaftanika i krótkich majtek.

Ubranie to odrobione jest z ciemno zielonego sukna,



N. 6. Szalik jako kapturek. Ubranie do teatru. Zobacz ryc. 7.



N. 8 — 9. Ubranie dla panienek od lat 7 — 10. Krój na arkuszu dodatkowym N. V Fig. 14 — 16.

na zwykłą i dawno znaną formę gładkiéj bluzy. Oszycie stanowi wełniana skośnie przerabiana tasiemka, z któréj dawane są także, około 4 cen. długie patki, zakończone czarnym wełnianym guzikiem. Majtki dochodzące za kolana obciśnięte są elastyką.

N. 12 i 13. Dwie wstawki do sukien, bluzek lub bielizny.

Koronka irlandzka i siatka gipiurowa.

Stosownie do cienkości bawełny i nici, i staranności wykończenia, wstawki te służyć będą mogły do cienkiego muślinu i przystrajać suknie czy bluzki, do płótna przy bieliznie lub szyrtyngu przy kaftaniczkach. Roboty podobne opisywaliśmy już tyle razy, że powtarzanie, przy łatwości i jasności wzoru, byłoby zbyteczne.

N. 14. Narożnik do kołnierzyka z tasiemeczki koronkowéj i frywolitek. Zęby z frywolitek robią się dwiema nitkami i łączą ze sobą krótkim pikotem bocznym; u góry przyrabiają do ażurowego brzeżka tasiemki i u dołu z takimże brzeżkiem łączą się środkowym pikotem. Przegradzane tasiemeczką rzędy, układane



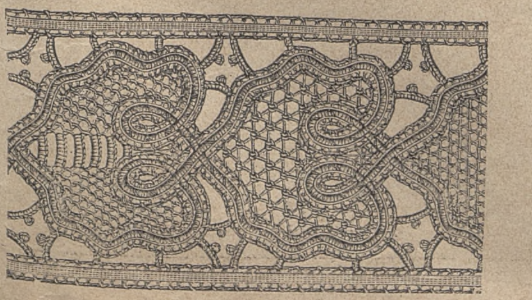
N. 10. Stanik z baskiną i tunika dla dziewczynki. N. 11. Ubranie dla chłopczyka. Kaftanik bluzowy i majtki.

być powinny w ten sposób, żeby ząbki wypadały jedne w drugie. Wyjąwszy ząbków narożnych trochę większych, wszystkie inne składają się z 2 pod. węz. 1 pik. 1 pod. wę. 1 pi., 6 pod. węz., 1 pik., 2 pod. węzłów.

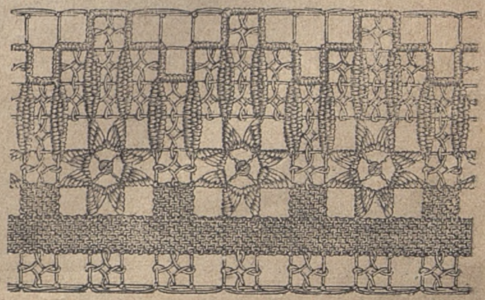
Ostatni rząd ząbków otrzymuje u dołu w miejsce 1-go, 4 pi. dolne przedzielane 2. pod. węzełkami. Tylny pasek stojącego kołnierzyka składa się z dwóch rzędów tasiemeczki, przedzielonych i u góry obrobionych ząbkami frywolitek. Mankietek może być z zębem odpowiednim końcom kołnie-



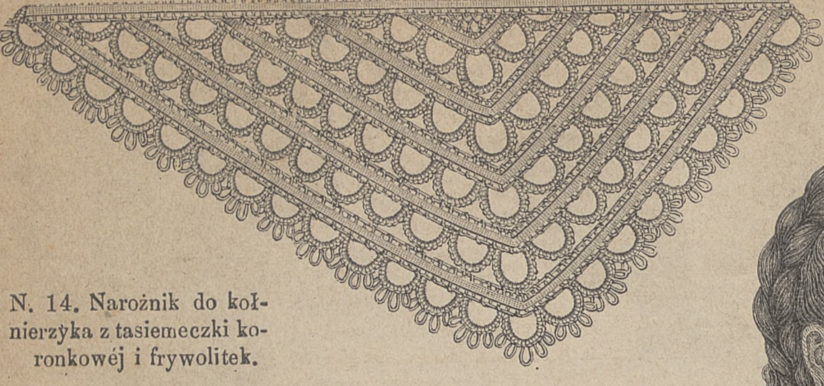
N. 7. Szalik zarzucony na szyję. Ubranie do teatru. Zobacz N. 6.



N. 12. Wstawka. Robota koronkowa i sznurek gipiurowy.



N. 13. Wstawka siatkowa z wyszyciem gipiurowem.



N. 14. Narożnik do kołnierzyka z tasiemeczki koronkowéj i frywolitek.



N. 15. Narożnik do kołnierzyka z plecioneczki kratek koronkowych.

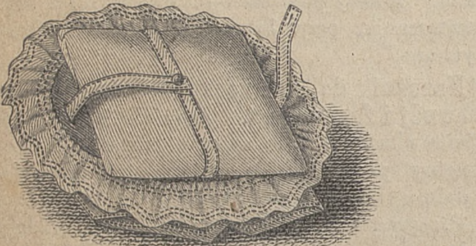
rzyka, albo tylko z prostym szlaczkiem.

N. 15 Narożnik do kołnierzyka

z plecioneczki i kratek koronkowych.

Szlak do mankietka w N. 44. Tyg. ryc 18.

Muślinowy pasek do którego przyszyte są narożniki, z tyłu oszywa się szlaczkiem zakończającym narożnik. Mankietek stanowi koronka podług ryc. 18, w N. 44. Tygodnika, odrobiona i do prostego muślinowego paska przyszyta. Chcąc żeby robota wyglądała pięknie, potrzeba użyć najcieńszéj plecioneczki i najcieńszych koronkowych nici.



N. 19. Zwierzchnia strona poduszeczki N. 17 bez haftowanego pokrycia.

N. 16 i 22 oraz w N. 44 Tyg. ryc. 22.
Zwierzchnia suknia z czarnéj grenadiny

ze szlakiem haftowanym gipiurowo.

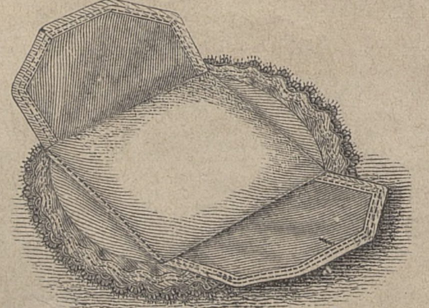
Rycina 16 przedstawia przód stanika, ryc: zaś 22 plecy i tunikę grenadinową, przyozdobioną szlakiem haftowanym, na grenadinie sposobem gipiurowym podług wzoru podanego w N. 44. Tygodnika ryc. 22. Może on być od razu na tiunice, lub osobno odrobiony i przyszyty. Dla lepszéj wydatności haftu i większéj sztywności brzegów, potrzeba w szlaku dać grenadinę podwójnie, albo podłożyć gęsty i cienki półbatyst czarny.



N. 16. Bluzka i tiunika z grenadiny z haftem gipiurowym. Zob. ryc. 22 i deseń ryc. 22 w N. 44. Tygodnika Mód.



N. 17. Poduszeczka do śpilek wraz z regestrzykiem do bielizny. Krój i deseń na arkuszu dodatkowym N. XI Fig. 24.

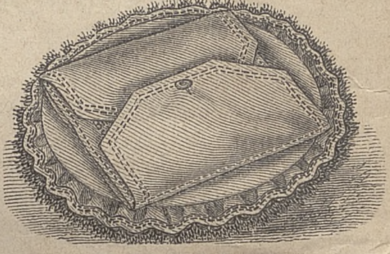


N. 18. Dolna strona poduszeczki N. 17 z otwartym regestrzykiem, do ryc. 17.

Wywiódłszy parę razy deseń gęsto jedwabiem, odzierguje go się na dwie strony, tak żeby ściegi mijały się ze sobą; okręcane pajączki dodać lepiéj przed dzierganiem.

Po wykończeniu zaś roboty tło niepotrzebne wycinać z lewéj strony. Bluzkę można krajać osobno, lub na sposób vêtement razem ze spódnicą, podług formy podanej w dodatku. N III. Fig. 6 — 11. Na zmniejszonym rysunku Fig. 6 i 8 oznaczona jest cienką linją forma zręcznéj chusteczki, naszytéj na staniku wstawką gipiurową. Takaż falbana 36 cen. długa lekko nadmarszczona, zakończa rękaw; fabryczna 5 cen. szeroka gipiura, dana jest przy wykroju szyi i oznaczeniu chusteczki. Wszędzie na przyszyciu haftowanego szlaku, na brzegach szerokiego obrębu z przodu i na pasku, dana jest torsadka, robiona z podwójnego jedwabiu na widełkach. Kokardy dane na bokach tiuniki i przy pasku, mogą być z czarnéj aksamitnéj lub rypsowéj wstążki, albo też w kolorze odpowiednim sukni dolnéj jedwabnéj; końce ich oszyte być powinny haftem gipiurowym.

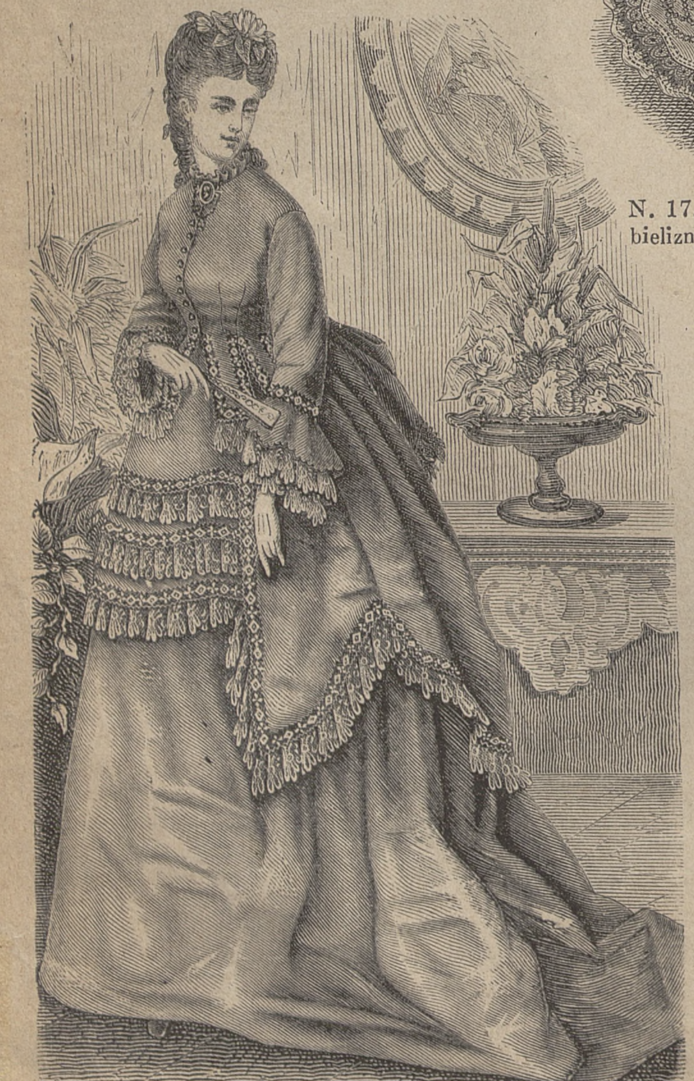
N. 21. Suknia strojna ze stanikiem z długim karoczkiem. Powłóczysta suknia z gros faille błękitnéj, ma naszycie przodu, garnirunek tiuniki i stanika, z białych szerokich koronek i takichże wstawek. Wązkie rękawy zakończone są szerokim wolantem, w ząbki wyciętym; końce sutéj i szerokiéj błękitnéj szarfy, oszyte są białą koronką.



N. 20. Spód poduszeczki z zamkniętym regestrzykiem. Do ryc. 17.

N. 17 — 20. Poduszeczka do śpilek wraz z regestrem bielizny.

Krój i deseń wyszycia na arkuszu z krojami, N. XI Fig. 24.



N. 21. Suknia strojna z tiuniką i stanikiem z długą baskiną.



N. 22. Vêtement z czarnéj grenadiny ze szlakiem gipiurowym. Zobacz ryc. 16 i ryc. 22 w N. 44 Ty. Mód.



N. 23. Kokarda do paska.

Materjał. Perkal szamoa, mocny i cienki i jedwab czarny, czarna koronka 1 i pół cent. szeroka, 4 długie śpilki z czarnemi łebkami, 1 czarny śpiczasty guziczek, takiż guziczek płaski, tektura, wata, szyrtyng, sznureczek bawełniany.

Podana przez nas poduszeczka niekosztowna i do roboty łatwa, stanowi jednak pożyteczną nowość. Na lewéj stronie wysłanéj watą, wyszyty jest spis bielizny, z numerami wyznaczonemi krzyżykami; przy zbieraniu do prania bielizny, w numer odpowiedni wkłada się śpilkę. Całe zaś perkalowe szamoa pokrycie tak jest urządzone, iż z łatwością można go zdejmować do prania; jedwab cienki użyty do stębnówki, powinien być przed użyciem sparzony.

Podstawę poduszeczki stanowi okrąg tektury 18 cent. średnicy, w którym na 2 i pół cent. od brzegu, daje się 4 nacięcia nakształt dziurek parami naprzeciw siebie leżące. Do pokrycia tektury służy okrągły kawałek perkalu, mający 26 cent. średnicy, zakończony stębnowanym obrębem 2/3 cent. szerokim, w który następnie nawłóczy się sznureczek, w odległości 1/3 cent. Od obręba przystębnowany jest gładko podwójny prosty pasek perkalu 3 c. szeroki, poczem okrąg perkalu się przymarszcza, na tekturę zakłada i podług niej przyciąga. Tym sposobem tektura jest ze spodu zupełnie, a z wierzchu tylko z brzegów pokryta, a przystębnowany pasek stanowi falbankę. Odpowiednio dziurkom w tekturze przebitym, obrabia się czarnym jedwabiem dziurki w perkalu. Dolna wypukła poduszeczka odrabia się z waty i szyrtyngu, na kwadratowym kawałku tektury, mającym 13 i pół centy. i powłóczy się poszeweczką z trzech stron zeszytą i ostębnowaną.

Do 4 boków téj powłoczki, wszywa się podwójne troczki 8 i pół cen. długie a 1 cen. szerokie; na końcu daje się 3 dziurki, a do czwartego przyszywa śpiczasty guziczek. Jak to ryc. 19 wskazuje, troczki te przeciągają się przez dziurki w okręgu tektury i służą do przytwierdzenia zarazem poduszeczki wypchanéj, z lewéj strony będącéj poduszeczki z regestrem bielizny. Okrąg z perkalu 20 cen. średnicy, wyszyty jedwabiem czarnym podług deseniu podanego na arkuszu z krojami, oszyty wkoło dwa razy koronką marszczoną, mającą w środku dziurkę do guziczka, stano-



N. 28. Sukienka z podpinaną tiuniką dla małéj panienki, przystrojona falbanką i plisami. Przód.



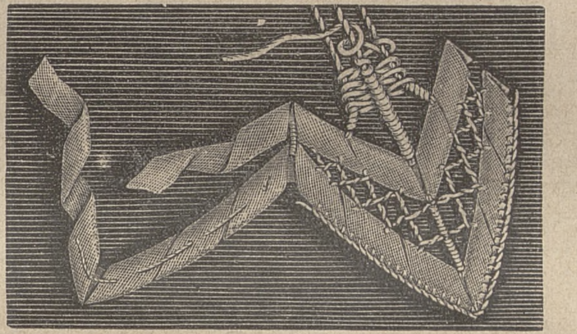
N. 31. Wierzchnia strona rękawa do ryc. 11 i 12 w N. 44 Tydnika Mód.



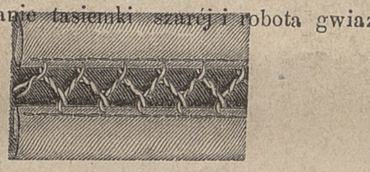
N. 35. Połączone litery do znaczenia bielizny.



N. 25. Torebka myśliwska. Gwiazdy układane z tasiemki szaréj. Forma na arkuszu z krojami N. X Fig. 22 do 23a. Zob. ryc. 7 w N. 44 i ryc. 26 i 27 w Tygod. N. 45.



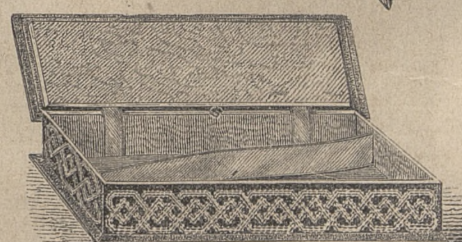
N. 26. Układanie tasiemki szaréj i robota gwiazdy do torebki N. 25.



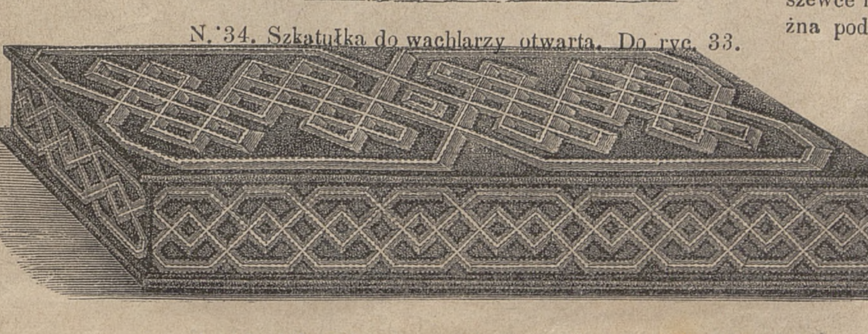
N. 27. Ucho do torebki N. 25.



N. 30. Kwiat wodny z papieru.



N. 34. Szkatułka do wachlarzy otwarta. Do ryc. 33.



N. 33. Szkatułka do wachlarzy zamknięta. Imitacja rzeźby z papierowéj kanwy. Wzory deseniu N. 13 i 14



N. 24. Kokarda do paska z końcami śpiczastemi.

wi zwierzchnie pokrycie, które się 4-a czarnemi śpilkami przypina.

N. 22. Suknia wizytowa z tuniką.

N. 23. Kokarda do paska ułożona w okrąg. Muślinem podszyty skośny kawałek 92 — 100 cen. długi, 8 cen. szeroki, przymarszcza się u góry i przyszywa wkoło na kawałku sztywnego muślinu. Środek zapełniają cztery kokardy węzłem przepięte, także muślinem podszyte.

N. 24. Kokarda ze śpiczastemi końcami. Tego układu kokarda użyta być może do włosów kołnierzyka lub do paska; stosownie do przeznaczenia robi ją się z „crêpe de chine" materji lub aksamitu. Kawałek skośny 60 cent. długi, 13 i pół szeroki, ścina się w końcach śpiczasto podług nitki i oszywa wiązaną frendzlą. Układ środkowych kokard i podgarnirowanie koronki, dokładnie wskazane jest na rycinie.



N. 29. Sukienka z podpinaną tiuniką, przybrana pasowanemi falbankami i stębnowanemi pliskami. Plecy.

N. 25—27. Torba myśliwska. Krój na arkuszu dodatkowym N. X Fig. 22 i 23 Materjał: szary bawełniany atłas i ciemno zielona cerata na płótnie, szara tasiemka 3/4 cent. szeroka, takież mocne nici, zielony jedwab, stalowa mała sprzączka, 2 cent. długi drewniany paciorek w kształcie żołędzi.

Do zawieszania przez ramię urządzona torebka, odrobiona jest z szarego bawełnianego atłasu i ceraty a z wierzchu pokryta gwiazdami układanemi z szaréj tasiemki, które podług dołączonych próbek bez szczegółowego opisu, łatwo odrobić i połączyć można. Dolna strona robi się z atłasu; pod gwiazdy podkłada się zieloną ceratę. Dla mocy atłas wełniany składa się podwójnie, a szwy wszelkie i obręby stębnują jedwabiem zielonym. Troczki do wieszania, zielonym jedwabiem przyzdobione i dubeltowo złożone, wszywa się między podwójne części. Gwiazdy z tasiemki podług próbki N. 27 zwijanéj odziergują się rzadko z brzegów i spajają kratką i dzierganiem, nićmi kordonkowemi szaremi.



N. 32. Dolna strona rękawa do ryc. 11 i 12 w N. 44 Tyg. Mód.

Na mocnéj płóciennéj pod szewce i zielonéj z wierzchu ceracie urządzić także można podobną torbę myśliwską.

N. 28 i 29. Sukienka z podpinaną tiuniką dla małéj panienki.

Powyższe ryciny podają z tyłu i z przodu s a-



N. 36. Połączone litery do znacze-

kienkę z gładkim stanlkiem pod szyję, podpinaną tiuniką i dwoma odmiennemi rodzajami garnirunku. Przód tiuniki jest gładki fartuszkowy, tylne bryty dłuższe, przymarszczone i w puf podpięte. Na panienkę lat 10 — 12 bryt przedni potrzebuje mieć 33 cent. środkowéj a 28 cent. bocznéj długości, 62 cent. dolnéj i 32 cent. górnéj szerokości. Tylne zaokrąglone bryty mają 52 cent. środkowéj długości, górnéj szerokości 80, a dolnéj 92 centymetry. Za pomocą przyszytych od spodu pętlic i guzików można tiunikę przydłużać lub skracać dowolnie.

N. 28. Suknia z popielatéj alpagi z fałdowaną falbaną i plisami. Drobno układana falbanka ma. przy tiunice 4 cen. szerokości, przy szelkach w środku 3 cent., po brzegach 2 centymetry. Skośna plisa 4 cent. szeroka, jest środkiem aksamitką przeszyta.



N. 38. Marynarski kapelusz z podwiniętem rondkiem, dla małéj panienki.

N. 29. Suknia wełniana z pasowanemi falbankami. Ciemniejszego odcieniu falbanki zakończone są paskiem jasnym u dołu, a w górze przystębnowane pliską 2 cen. szeroką, tego co suknia koloru. Skośny stembnowany pasek przybrany jest z tyłu długimi stembnowanemi puklami.



N. 37. Paletot i kapelusz jesienny.

N. 30. Kwiat wodny z bibułki.

Środek kwiatu daje się z zielonéj, drobno nakszta frendzelki nacinanéj bibułki i żółtych woskowanych nic Pasek bibułki żółtéj 4 cent. szeroki a 24 cent. dług składa się w 12 równych części i zaokrągla na liście dołu z sobą połączone; liściom tym nadaje się potrzebn wypukłość i zagięcia kulką na poduszeczce. Poczem ow ja się i nicią przykręca je do drutu; kielich kwiatu sta nowi kawałek zielonéj bibułki w ząbki wycięty i gu mą naklejony.

Na liściach z grubego zielonego glansowaneg papieru dodaje się żyłki złotawego koloru; cienki zieloną bibułką owinięty drucik stanowiący korzonk podkleja się do liści od spodu.



N. 39. Kapelusz marynars z prostem rondkiem dla panienki.

Dalszy ciąg opisu N. 4 nastąpi w dodatku N. 4 Tygodnika Mód.



N. 40. Wieczorowe ubranie ze stanikiem wyciętym.

N. 41. Wizytowe ubranie z kołnierzykiem chusteczkowym i rękawkami szerokiemi.

N. 42. Wieczorowe ubranie ze zwierzchnią sukni (vêtement) z białéj grenadiny.